Miesięcznie 95 groszy
prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela, dnia 24 listopada 1935 r. Nr. 47.



W wieczorną ciszę

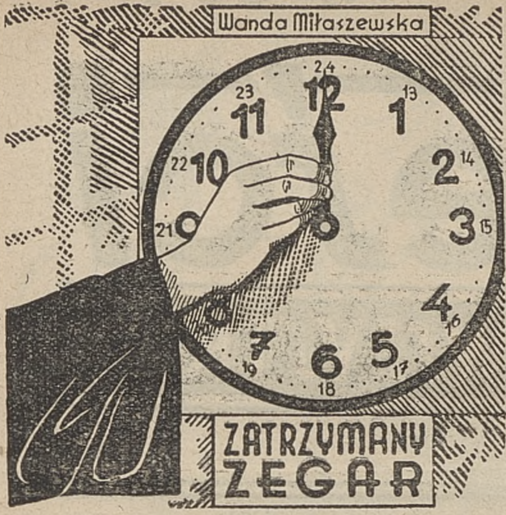
Wszystkie wspomnienia i marzenia złote
Już mi pochłonął smutny życia cmentarz,
Na dalszą drogę mam tylko tęsknotę
I twoje słowa — czy ty je pamiętasz?

Wieczorna cisza, gwiazdami promienna,
Ona to jedna — mnie jeszcze utuli;
Kiedym troskami zmęczona i senna,
Pod swoje skrzydła garnie mię najczulej.

Może jest w świecie pokrewna mi dusza,
Co jak ja marzy w te ciche wieczory,
Gdy nic snów błogiej ciszy nie porusza,
Gdy pierzchną troski i smutki — upiory.

Gdyby w tej ciszy ktoś mi śpiewał pieśni,
Co są balsamem na ludzkości rany,
O, gdyby dobre choć raz przyniósł wieści
I wywiódł duszę z fal na brzeg świetlany!,,.

JADŻKA Z KUJAW.



POWIEŚĆ 8)

Nie czuliśmy jej, choć sanki skrzypiały, szorując płozami o niepokalane zawały śnieżne, choć para buchała z nozdrzy końskich i z naszych ust, choć nam na brwiach i rzęsach osiadł szron gęsty i biały, a mróz smagał policzki. W sercach czuliśmy wiosnę, tę najjaśniejszą, która tylko raz w życiu zakwita: wiosnę naszej miłości.

Na jakimś zakręcie, (krzyż tam stał, otoczony krzakami głogu, którego owoce krwawiły się jeszcze wśród ciernistych gałązek). Zbigniew mocniej ogarnął mię ramieniem i spytał z niewypowiedzianą tkliwością w głosie:

— Nie zimno?

Potrząsnęłam głową na znak, że wcale mi nie zimno. Nie mogłam nawet mówić, bo mi w tej chwili szczęście odjęło głos i najmilsze słowa strąciło spowrotem w głąb serca. Ale Zbigniew ozwał się znów po chwili:

— Krysiu?

Obróciłam ku niemu rozpromieniony wzrok.

— Jedziemy! — rzekł.

— O, tak! Jedziemy! — powtórzyłam tę wielką nowinę.

Podróż skończyła się dziwnie prędko. Zdaleka dostrzegliśmy już wszystkich, oczekujących na ganku. Był tam pan Dziechciński, łysy jak kolano i mocno postarzały w ciągu ostatnich lat, była Emilka w narzuconym naprędce kożuszku i „ciocia Józia", niklejsza jeszcze w swojej czarnej sukni, której nie porzuciła od śmierci Adasia. Wymachiwali w naszą stronę rękami i wołali coś, a gdy sanie stanęły, pan Dziechciński huknął swoim poczciwym basem:

— Jakże tam droga? Bardzo zawiało?

Były to pierwsze słowa, jakie usłyszałam na progu domu, do którego tęskniłam przez wiele, wiele miesięcy. Odpowiedziałam ze łzami szczęścia w głosie: „O, zawiało!" i jednocześnie poczęłam ściskać Emilkę, całować ręce pani Rymszyny — „Jego" matki — potem ściskałam znowu Emilkę, a łzy już na dobre płynęły mi po zamarzniętych policzkach.

Wśród wykrzykników, zapytań i odpowiedzi, krzyżujących się z sobą, wprowadzono nas do jadalni. Śniadanie, jako w dzień wigilijny, było postne i skromne. Do tej chwili nie mogę zapomnieć, jak z ustami, pełnemi sera musiałam informować ciocię Józię, że moje uczenice są bardzo grzeczne, że nie wszystkie studentki mają obcięte włosy, że Wawel stoi na miejscu, a w teatrze grywają do dziś dnia „Kościuszkę pod Racławicami", jak wówczas, gdy pani Rymszyna zawiozła swoich chłopców do Krakowa, aby się „nałykali tej ojczyzny kochanej".

Widząc mą kłopotliwą sytuację (walczyłam bowiem bohatersko z serem), Zbigniew umyślnie począł dorzucać coraz nowe pytania, tak, że nie mogłam przełknąć dławiącego kęska; pogroziłam figlarzowi oczami, ale on patrzył na mnie z miną łobuzerską i śmiał się w najlepsze. Wreszcie Emilka przyszła mi z pomocą:

— Poczekajcież trochę! Dajcie jej chociaż śniadanie dokończyć!

W tej samej chwili drzwi się otwarły i w progu stanęła Ela. Boże, jakże się zmieniła! Z nijakiego podlotka stała się nagle dorosłą panną! Włosy miała skręcone po bokach w misterne „kukiełki", przeplecione wstążką, suknię prawie do kostek, pantofle na francuskich obcasach. Blada i wąska jej twarzyczka, nazwana ongi przez Adasia „lisim pyszczkiem", wyciągnęła się jeszcze i wydawała szczuplejsza, może dzięki uczesaniu; czarne oczy patrzyły inteligentnie z pod cienkich, jakby ołówkiem narysowanych brwi.

W tej chwili wyraz jej twarzy znamionował gwałtowną walkę pomiędzy szczerą chęcią rzucenia mi się na szyję a obawą, że taki odruch może być poczytany za dziecinnadę. Wybrała coś pośredniego: podeszła wolno, z namaszczeniem ucałowała mię w oba policzki i rzekła serdecznie:

— Tak się cieszę, że wreszcie przyjechałaś!

Dopiero teraz spostrzegła Zbigniewa, a może udała, że go dopiero zauważyła, gdyż dodała ze zdziwieniem:

— Ach, i p a n tu jest! Zapomniałam, że mieliście państwo przyjechać razem.

Słowo „pan" było zaakcentowane bardzo wyraźnie. Podczas nielicznych wakacyj, które Zbigniew spędził w Klimontowcach, mówiła zawsze do niego w trzeciej osobie, a on ją poprostu nazywał Elą, albo nawet — o zgrozo — smarkulą! Widocznie teraz Ela chciała zaznaczyć niestosowność tego „tykania" i jednocześnie uprzedzić, że chce być traktowana z całym respektem. Ta scenka mię rozśmieszyła, że przełknąwszy wreszcie ser, parsknęłam śmiechem. Zbigniew natomiast odparł z niezmąconą powagą:

— Czy wolno mi na powitanie, po tak długiem niewidzeniu, ucałować rączkę „panny Elżbiety"?

Ela zaczerwieniła się. Było jej z tym rumieńcem bardzo „do twarzy". Wogóle wyglądała zupełnie inaczej, wydawała się prawie ładna. Z czarniawego pączka wyrósł kwiat, może nieco wątły i blady, ale niepozbawiony uroku. Patrząc na nią, na jej ruchy „dystyngowane", na jej usta, rozchylone w dyskretnym, konwencjonalnym uśmiechu, powtarzałam w duszy ze zdumieniem: „I to jest Ela, ta sama Ela, którą łajałam za palce, powalane atramentem i za błędy ortograficzne, jakich nie brakło w dyktandach!

W kilka miesięcy później przyszło mi pomyśleć z jeszcze większem zdumieniem:

— I to ona, ona jest przyczyną mego nieszczęścia! Ona właśnie...

Tak, właśnie ona. Ta moja droga, mała Ela, dla której tyle miejsca przeznaczyłam w sercu, zdeptała to serce bez wahania, z egoizmem, na jaki tylko rozpieszczone i psute przez wszystkich dziecko zdobyć się potrafi.

XX.

Na tłusty wtorek otrzymałam zaproszenie od pani Bujakowskiej, żony tutejszego aptekarza. Bardzo różowy, bardzo pachnący konwalją bilecik: „Mamy nadzieję, że pani nie odmówi nam i przyjdzie na herbatkę z faworkami. Czekamy między czwartą a piątą pp. Będzie kilka osób znajomych".

Kilka osób znajomych, byli to naturalnie: panna Leonka, młody nauczyciel z czwartego oddziału, asystujący jej bardzo wyraźnie, siostra proboszcza, kierownik poczty i jeszcze jakiś wyrostek, tytułujący panią Bujakowską rozkosznem zdrobnieniem „kuzyneczko".

Przyszłam o piątej. Całe towarzystwo siedziało już dokoła krągłego stołu, nakrytego przedziwnym obrusem w czerwone i szare kwiatki. Na dużym, nieco wyszczerbionym półmisku złociły się sławetne faworki, których poważną cząstkę unicestwili już zebrani goście przed mojem przybyciem.

— Nareszcie! Witam drogą panią! Ciągleśmy tu o pani mówili! — wykrzyknęła aptekarzowa, zrywając się z krzesła i śpiesząc z wyciągniętemi rękoma na moje spotkanie. Ten wylew serdeczności natrafił na niespodziewaną przeszkodę w postaci wywróconego krzesła, o które uprzejma gospodyni zawadziła nogą w pośpiechu. Zdarzenie to spowodowało zamęt wśród zebranych. Jedni rzucili się podnosić krzesło, inni śpieszyli z pomocą aptekarzowej, która o mały włos nie utraciła równowagi. Tylko panna Monika, przygłucha siostra proboszcza, nie ruszywszy się z miejsca, wrzasnęła, z ustami pełnemi faworków:

— Wczas pani zjawiła się, boby my to wszystko sami pojedli!

I poczęła sobie nakładać nową, tęgą porcję z półmiska.

— Proszę siadać! Proszę siadać! — rzekła aptekarzowa, ochłonąwszy i ucałowawszy mię dokumentnie w oba policzki. Okazało się jednak, że zaproszenie było trudne do wykonania, gdyż jedyne wolne krzesło, to właśnie, które upadło na ziemię, nadwerężyło sobie w tej przygodzie nogę, wobec czego, po krótkich certowaniach, jasnowłosy nauczyciel (nazywa się Dąbek) przysunął sobie do stołu prostą drewnianą skrzynkę i wcisnął się pomiędzy mnie, a swoją Dulcyneję, pannę Leonkę, rezygnując nawet z dostępu do przysmaków na stole.

— Doprawdy, aż mi wstyd! — tłumaczyła się pani Bujakowska — z temi naszemi meblami istna kompromitacja! Krzeseł mało, a i to się ciągle łamią. Ale my tu tylko przelotem, więc mówię: niewarto rzeczy sprowadzać na

taką poniewierkę. Jak Stasiuńcio dyplom zrobi i dostanie praktykę w większem mieście, wtedy dopiero urządzimy dom, jak się należy! Sprowadzimy wszystko: garnitur salonowy, sypialnię, fortepian... A teraz, ot, aby czemkolwiek kąty zastawić...

I wskazała owe „kąty" istotnie pozastawiane gratami tak szczelnie, że trudno było lawirować w tem wszystkiem i nie dziw, iż co chwila ktoś o coś zawadzał i wywracał z hałasem.

Zasadniczym tematem rozmów aptekarzowej jest przyszły doktorat jej męża, bujający, jak dotąd, w obłokach. Pani Bujakowska pochodzi aż z Nowego Targu, tutaj znalazła się właściwie „przypadkiem" i mieszka tylko „chwilowo", co każdemu przy każdej sposobności klaruje i przypomina.

— Bo widzi pani — rzekła mi zaraz po poznaniu (proboszcz nas sobie przedstawił na plebanji) — ja pochodzę z Nowego Targu i mam tam własną willę. Bardzo ładną willę z ogródkiem. A drugą willę mam w Zakopanem, może jeszcze ładniejszą. Jakem się ze Stasiuńciem zaręczyła, radził mi dalej prowadzić pensjonat, ale ja sobie pomyślałam inaczej: Cóż to, mam zawsze się z tym pensjonatem kłopotać? Lepiej odnajmę obie wille, a on niechaj się uczy. Mąż, naturalnie. Miał być doktorem, właściwie już mu tylko roku brakowało do ukończenia studjów... Powiedziałam mu jeszcze przed ślubem: jak zdasz, Stasiuńciu, egzamin, to ci podaruję willę, nawet tę w Zakopanem, choć ładniejsza. Podaruję ci ją na własność. Trzeba przecież, żeby doktorem został. Za przyszłego doktora wychodziłam, a nie za farmaceutę... Ale on, ten mój Stasiuńcio — poeta! Wiecznie w obłokach, wiecznie rozmarzony i ja za niego o wszystkiem muszę myśleć i pamiętać... Namówiłam go, żeby chociaż, tymczasowo, kursy aptekarskie skończył... Tę apteczkę mu także kupiłam tymczasowo, bo to bardzo niezdrowo dla młodego mężczyzny tak siedzieć bez żadnego zajęcia. Ale jak Stasiuńcio doktorem zostanie, w dużem mieście zamieszkamy, to i meble sprowadzę i gabinet mu urządzę i willę na jego imię przepiszę. Bo co obiecałam to święte. Słyszysz, Stasiuńciu?

Wysoki, chudy jak tyka „Stasiuńcio" ma wielkie, czarne, wyłupiaste oczy, śpiczasty nos i nieco za „wyniosłe" czoło. Bujnej swej czupryny, jak mi się zdaje, nie stracił ślęcząc nad książkami, do których nigdy nie czuł zbytniego pociągu. Wówczas, gdy był jeszcze studentem i poznał przyszłą swą połowicę, miał może wyższe aspiracje. W każdym razie szybko skombinował w swoim niewielkiem móżdżku, że lepiej żyć beztrosko u boku starszej, doświadczonej i rozsądnej niewiasty, właścicielki aż dwóch nieruchomości, — niż brnąć dalej w niepewne jutro, zaciemnione jeszcze mniej pewnym rezultatem ostatnich egzaminów.

Właściwie patrząc na tę parę, powinnabym doznawać raczej przykrego uczucia, gdyby nie dziwna właściwość natury ludzkiej, która w rzeczach politowania godnych widzi często powód do śmiechu. Należałoby współczuć z



Pełni zapału narciarze przygotowują się do zawodów nawet w jesieni, trenując z braku śniegu na trawiastych zboczach gór. Taką parę „jesiennych" narciarzy w Alpach przedstawia nasza rycina

panią Bujakowską, o dobry dziesiątek lat starszą od męża. Ta różnica wieku, po sześciu czy siedmiu latach pożycia małżeńskiego poczyna się uwydatniać coraz jaskrawiej i nie wiem, czy już w najbliższej przyszłości intensywny róż. — jakim ta podstarzała eks-właścicielka pensjonatu usiłuje podtrzymać swe więdnące wdzięki, — zdoła utrwalić wierność wiecznego studenta dla jego prawowitej połowicy.

Opowiadała mi panna Leonka (a ta jest au courant wszystkich spraw, nie do niej należących), że Bujakowscy kłócą się często wieczorami i że odgłosy tych sprzeczek aż nadto wyraźnie dobiegają do uszu sąsiedzkich. Tematem sporu są zawsze jakieś bosonogie piękności okoliczne, którym romansowy farmaceuta po zniżonej cenie sprzedaje „skrom zajęczy" lub inne „komarowe sadło".

— Co robiłeś kwadrans po piątej w alei Klimontowskiej? — woła pani aptekarzowa, a głos jej znakomicie przenika cienkie ściany domowego ogniska. — Widziałam dobrze, Stasiuńciu, że wyszedłeś z apteki razem z tą bezwstydną Bobowikówną, która miała czelność rozpowiadać po sumie, że ją zeszłego piątku pocałowałeś w rękę na pożegnanie! Takiego wycirusa w rękę! I to ja wysłuchiwać muszę, ja, która dla ciebie wyrzekłam się życia bez troski w Nowym Targu, pensjonatu w Zakopanem i własnego ogródka! Odnajęłam to wszystko za psie pieniądze i gniję w takiej podłej dziurze, aby zamknąć gęby znajomym, którzy gadają, że wyszłam za wałkonia i głupca, co nawet uniwersytetu skończyć nie może, tylko się na żoniny fartuszek ogląda!

Słynna wymowa pani aptekarzowej może się w takich dyskusjach rozwijać swobodnie, bowiem „Stasiuńcio" trzyma się taktyki wysłuchiwania w milczeniu wszystkich pod jego adresem skierowanych zarzutów. Po niejakim dopiero czasie zdejmuje z wieszadła palto, kapelusz i poczyna sposobić się do wyjścia. Wówczas rozżalona małżonka hamuje wylew wymówek i pyta niespokojnie, znacznie zmoderowanym tonem:

— Dokąd idziesz?

— Napić się piwa u Szlomy, kochanie. Tak mi jakoś w gardle zaschło...

— Zaczekaj! Pójdę razem z tobą na piwo — decyduje się szybko pani Bujakowska, bo cóż ma robić? — Tylko kapelusz włożę. Chyba ci będzie przyjemniej ze mną, niż tłuc się samemu po żydowskich wyszynkach...

W ostatniem zdaniu brzmi już imperatyw. „Stasiuńcio" czeka pokornie, a po krótkiej chwili sąsiedzi mogą obserwować przez okna, jak maszeruje zgodnie z żoną pod rękę, wzdłuż zabłoconej uliczki.

W takiej małej mieścinie domy są jakby ze szkła. Każdy, chcąc nie chcąc, widzi ich wnętrza. Najdrobniejsze zdarzenie roztrząsane jest i komentowane tak długo, zanim wszyscy nie znuża się tematem, a to nie może nastąpić wcześniej, nim nowy jakiś doniosły fakt nie pochłonie uwagi i nie wstrząśnie „opinją" publiczną.

Mówiłyśmy właśnie o tem z panną Leonką, wracając z „tłustego wtorku" od Bujakowskich. Panna Leonka spytała, czy może mię odprowadzić do domu, co nie zdziwiło mię zbytnio, gdyż powrót w towarzystwie „głuchej, jak pień", siostry proboszcza, nie należy do atrakcji, zwłaszcza, gdy wiatr dmie w oczy i zapiera oddech; panna Monika lubi zadawać pytania, wymagające odpowiedzi wyczerpujących, które trzeba formułować, przekrzykując wichurę. Moje towarzystwo było tedy jedynym ratunkiem i ostoją.

Stąpając ostrożnie krok za krokiem (cóż za ohydna ślizgawica wypadła w ten ostatni dzień zapustny!), gawędzi-

łyśmy o tem i owem, jak zwykle. Panna Leonka, chociaż przybyła tu w miesiąc po mnie, zna wszystkich i wie o wszystkich znacznie więcej, niż ja. Ona też jest moją gazetką informacyjną i powiadamia mię zawsze, kto zachorował, dla kogo leżą na poczcie przesyłki, z kim w niedzielę chodziła na spacer córka felczera i jaką suknię szyje sobie pani aptekarzowa u miejscowej mistrzyni kroju.

— Tak, tutaj trudno mieć swoje prywatne życie — zauważyłam, wysłuchawszy steku nowinek o starych sprzeczkach, kolizjach i awanturkach miłosnych między tą garstką znajomych, której znaczniejszą część pożegnałyśmy przed chwilą u pani aptekarzowej.

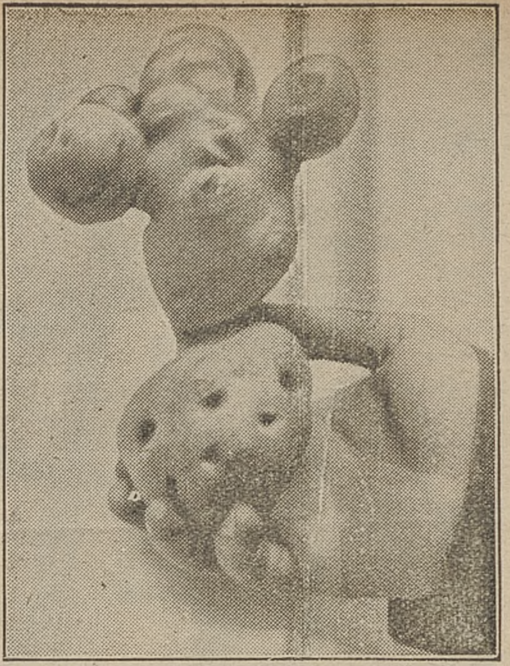
— Ot, proszę pani, co tu się dziwić? W wielkiem mieście zupełnie co innego. Ruch, gwar, tyle obcych twarzy. Wyjdziesz na ulicę, pogapisz się na wystawy sklepowe, wstąpisz do cukierni, czy do znajomych, — rozerwiesz się... A tu co? Nawet kina niema. Więc tak sobie ludzie zajmują wolny czas, jak potrafią. Przecież myśleć o czemś trzeba, z czegoś się cieszyć, albo i uśmiać, prawda? Co mię obchodzi, że pani Bujakowska sprowadza aż z Warszawy rozmaite farby do włosów, albo francuskie mastyksy do smarowania twarzy? Ale jak kiedyś umalowała sobie głowę na fjoletowo, tośmy się wszyscy śmieli do łez, bo potem musiała biedaczka chodzić z taką fryzurą, a wieczorem, to pewnie nakładała czepeczek, żeby „Stasiuńcio" nie zauważył... Hi hi! Nikomu się nie zwierzyła z tej przygody, a przecież wszyscy o tem przez tydzień gadali. Ma pani słuszność: tu wszyscy wszystko wiedzą.

Zamyśliła się, a potem dodała z nutą podziwu w głosie:

— Najmniej to wiedzą o pani. Pani jest jakaś inna. Tak, o pani to nawet j a nic nie wiem.

— Dlaczego? Przecież ja mieszkam w takim samym domku z przezroczystemi ścianami. I nie chowam swojego życia. A że nie sprowadzam z Warszawy barwiczek... Kto wie? Może sobie inaczej radzę? Może niejeden siwy włos wyrwę ukradkiem przy czesaniu? Ha! Każdy ma swoje wady, swoje śmiesznostki, swoje „słabe struny"!... Mało kto lubi się starzeć. I ja także, zapewniam panią, ja tak samo, jak wszyscy...

— Nie — odparła — pani właśnie jest inna, niż wszyscy. Ja panią widzę codzień w szkole. Widzę, jak pani umie przemawiać do tych smarkaczy. Pani, taka wykształcona, (przecież wszyscy o tem wiedzą) a mówi pani do nich poprostu, że każdy zrozumie. Dzieci panią kochają, bo pani jest bardzo dobra, wyrozumiała dla nich. Wiem, że pani zawsze cierpliwie wysłucha mojej gadaniny i mam do pani dużo zaufania... Niema rzeczy, z którejbym się nie zwierzyła, nie poprosiła o radę. A z tem wszystkiem pani jest jakby obca wśród nas. Jakby tu pani przyszła na krótką chwilę i miała zaraz odejść, prawie, że bez pożegnania. Ot tak, jak to się człowiek wymyka z tłu-



Ten zabawny kartofel, przypominający ludzką twarz, wyhodował pewien Niemiec w swym maleńkim ogródku.

mu, na dworcu kolejowym, gdzie pełno obcych ludzi i nikt się z nikim nie wita ani nie żegna...

— Wcale nie myślę odjeżdżać stąd, a jeśli mi przyjdzie odjechać, panno Leoniu, uczynię to z żalem i napewno będzie mi bardzo smutno rozstać się z panią.

Urwała się rozmowa, bo właśnie stanęłyśmy przed domem burmistrza. Zaprosiłam moją młodą koleżankę na szklaneczkę herbaty. Przyjęła zaproszenie z radością i długo jeszcze gawędziłyśmy o sprawach szkolnych, o projektowanym zjeździe nauczycieli powiatowych, o postępach dzieci i wreszcie... o błękitnem spojrzeniu pana Dąbka. Ten ostatni objekt dostarczył dużo materjału, nietyle do dyskusji, ile do bardzo szczegółowych rozstrząsań ze strony panny Leonki.

A jednak do późnej nocy rozpamiętywałam to, co wyraziła tak prosto i — tak ogromnie trafnie. Bo ona ma słuszność. Pomimo wszystko, pomimo, że całą duszą staram się zżyć z tymi ludźmi — odczuwać to, co oni czują, myśleć tak, jak oni myślą i tak, jak oni żyć — pomimo to jestem i będę dla nich zawsze jakaś inna, prawie obca.

...Tak, jakbym przyszła na chwilę i wkrótce miała iść dalej, — samotny, nikomu nieznany podróżny, który wszedł cicho do przepełnionej kawiarni, posiedział, ogrzał się trochę, zapłacił za swoją porcję herbaty i wymknął się, przez nikogo niespostrzeżony...

XXI.

Czy to możliwe, że wiosna, prawdziwa wiosna rozgościła się już na dobre? Wdycham mocną woń pierwszych ziółek, wychylających z ziemi nieśmiałe listki, patrzę na niebo, rozbłękitnione najczystszym lazurem o barwie słodkiej i głębokiej, słucham zświergotanej czeredy ptactwa, które dalekich wędrówek całemi chmara powraca i śpiesznie wije gniazda w. śd półnagich gałązek, — i nie chce mi się wierzyć, że to dopiero połowa marca, że mogą jeszcze przyjść ostre wichury i deszcze, zmieszane z topliwym śniegiem — chłodne dni opamiętania po niewczesnej radości!

Nigdy jeszcze chyba wiosna nie wydała mi się tak upragniona, jak obecnie. Z niepokojem i niedowierzaniem badam jej triumfalny pochód przez skostniałe pola, przez oziminy, pokryte gdzie niegdzie szmatką zbrukanego śniegu, przez wezbrane strumyki leśne i rozległe mokradła łąkowe...

Codzień zrana biegnę do okna, otwieram je naoścież, z rozkoszą wciągam w płuca powietrze, przepojone ozonem. Przymykam oczy, by uczuć na powiekach to cudowne dotknięcie słońca, które już grzeje, a jeszcze nie pali. Wczoraj zauważyłam na szybie okiennej dużą czarną muchę. Lazło to po gładkiej powierzchni szkła trochę ociężale, niepewnie, przystając po drodze, rozprostowując zwątlałe skrzydełka i probując nieśmiało pobzykiwać. Wreszcie nabrawszy odwagi, oderwała się od szyby i jęła z głośnem brzęczeniem krążyć pomiędzy czterema ścianami pokoju, w którym przetrwała zimę, odrętwiała i senna, ukryta gdzieś w szczelinie muru, czy między belkami sufitu.

Podobnie i moja odrętwiałość znika z dniem każdym. O, wspaniałe słońce, cudowny tworze boski, który masz tę niespożytą energję odradzania w każdej najlichszej roślinie soków zakrzepłych, wsączasz w nią siłę do życia, pomagasz do jej rozrostu i wydajności! O dobre słońce, najgenjalniejszy lekarzu wszystkich krzywizn ducha i ciała! Jednem cieplem spojrzeniem przenikasz i ogrzewasz serce człowiecze, zabijasz w niem zarazki szkodliwe, osuszasz stęchłą wilgoć jego tkanek, oczyszczasz je i prześwietlasz!

Jak w sukni odświętnej chodzę w upojeniu. Obnoszę moją zmartwychwstałą radość pomiędzy ludźmi, ciesząc się, gdy oni to widzą.

Codziennie po skończonych lekcjach idę na długą przechadzkę, tak długą, jak tylko pozwalają mi zwątlałe siły. Nie mogę jakoś jeszcze odzyskać ich w zupełności po owem ciężkiem zaziębieniu. Są dni, że mówię z trudem, przeklęta chrypka tamuje mi głos, który, po pięciu godzinach szkolnych brzmi, jak spękany garnek.

Na owe przechadzki zabieram czasem Teosia, a czasem pannę Leonkę, o ile imć Dąbkowi wypadło jakieś ważne zajęcie, odrywające go od narzeczonej. Bo oni już się zaręczyli. Wyznała mi to sama panna Leonka, właśnie na jednej z takich przechadzek. Szłyśmy drogą w kierunku Klimontowiec, choć tam teraz błocko prawie po kolana. Ale za to zachody słońca niezrównanej piękności, zwłaszcza od strony łąk zatopionych pod wodą.

Stanęłyśmy i patrzyły na te mokradła, różowe od ostatnich słonecznych blasków. Dalej widniał już tylko wąski skrawek lasu na horyzoncie, a wyżej — rozpętało się całe morze ognia na niebie.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

MARJA REUTT 8)

Przeznaczenie

— Nie jest już tak młodą i niegłupią, więc chyba sama zrozumie, że narzuceniem się nic u mnie nie wskóra. Jednakże muszę powiedzieć Brendzie, że nie powinna tak tryumfalnie obnosić przed ludźmi naszej znajomości.

— Kąpiel gotowa proszę waszej wysokości — oznajmił lokaj, podchodząc do łóżka i podając księciu pantofle.

Dźwignął się z łóżka ociężale książę i, ziewając i otrząsając się, szedł do łazienki.

Ciepła woda, prysznic ożywiły go. Ból głowy ustąpił. Nałożył płaszcz kąpielowy i przeszedł do ubieralni, gdzie już czekał na niego fryzjer.

Ogolony, uczesany przeszedł do pokoju obok na śniadanie.

Na stoliczku na tacy leżało kilka listów, pisanych przeważnie ręką kobiecą.

— Życzenia ślubne i prośby o coś na otarcie łez — mruknął lekceważąco, odsuwając je od siebie, gdy wtem wzrok jego zauważył kopertę ze znaczkiem stemplowym stolicy wielkiego księstwa, gdzie mieszkała i panowała księżna Franciszka.

Zadrżały mu ręce, gdy wyciągnął palce po białą, podłużną kopertę welinową, a serce łomotało w piersi jak młotem, a od krwi, co rzuciła mu się do mózgu, aż kłuło w skroniach.

— Sandro mój najdroższy!...

Nie powinnam pisać do Ciebie, bo co się stało już się odstać nie może, a mimo to piszę.

Gdy byłeś wolny, nieżonaty, byłeś mi bliski. W marzeniach swoich i snach tuliłam się do Ciebie, spowiadałam Ci się ze swoich zmartwień, tęsknoty do Ciebie, skarżyłam Ci się i przynosiło mi to ulgę. Błagałam Boga, by moje maleństwo było do Ciebie podobne, by miało Twoje oczy... Twój uśmiech, bo wtedy zdawałoby mi się, że to twój syn, twoje dziecko.

Kazałam powiększyć twoją fotografję i sama namalowałam twoje oczy na szaro-niebiesko-zielony kolor i godzinami wpatrywałam się w te oczy, takie kochane, mądre, dobre, tak bardzo kochane, i modliłam się o te oczy dla syna.

Gdy wyczytałam w gazecie o Twoim bliskim ślubie z Gabrynią, miałam wrażenie, że oszalałam z zazdrości, że to nie ja zostanę Twoją żoną, z zazdrości, że Gabrynia będzie przez Ciebie całowana, pieszczona, będzie należeć do Ciebie, będzie miała prawo i możność patrzenia w te Twoje ukochane źrenice, które bez słów mówiły mi tyle razy o miłości.

Błagałam Boga o śmierć, nim Ty się ożenisz, nim innej przypadnie w udziale to szczęście, co mogłoby być mojem. I gdyby nie dziecko...

Jutro twój ślub. Przeżywać będę Golgotę cierpienia. Od tych kilku tygodni żyję jak we śnie koszmarnym. Zrobiłam się taka zepsuta, że w chwilach samotności uprzytamniam sobie, uplastyczniam te chwile rozkoszy, które przeżywać będzie z Tobą Gabrynia.

Sandro... mój Sandro... czemu to los obszedł się z nami tak okrutnie.

Przebacz Twojej szalonej Karinie, zniszcz ten list i zapomnij o nim. Ja wiem, że nie powinnam była pisać, lecz nie mogłam się powstrzymać, zbyt się czuję nieszczęśliwą w tej chwili. Ach jak mnie życie męczy... Boże, jak męczy!

Całuję Cię po tysiąc razy, po miljon razy i płaczę pisząc ten list.

Twoja nieszczęśliwa Karina.

A możeś Ty już zapomniał o mnie? Nie, ja tej myśli dopuścić nie chcę do siebie!...

Zbladł książę i palce zacisnął na papierze. List ten zrobił na nim ogromne wrażenie.

Gdy ona cierpiała, jedyną ulgę czerpiąc w marzeniach, on szukał zapomnienia w przelotnych miłostkach, w pijackich orgjach, w objęciach małowartościowych kobiet. Ona w swej naiwnej czystości zamierała z bólu na myśl o nocy poślubnej, tej nocy, o której powinno jej było najmniej chodzić. Gdyby tak mogła przejrzeć jego sposób życia, ujrzeć choćby noc wczorajszą. Napewno serce jej pękłoby z naporu przerażenia i bólu.

— Jakim bydlęciem nieraz jest mężczyzna, nawet ten najlepszy! — wzdrygnął się.

— I takich jak my kochają kobiety, robią z nich bóstwa, stawiają im w swych sercach i duszach ołtarze!

Zapomniał o śniadaniu. List wsunął do bocznej kieszeni munduru. Wstał z krzesła i przeszedł się po pokoju. Mózg pracował szybko, pod czaszką kłębiły się myśli.

Wszedł do gabinetu i siadł przy biurku. Wyjąwszy z kieszeni książeczkę czekową wypisywał i podpisywał w niej kartkę po kartce, wydzierał je, odkładając na bok. Szesnaście ich leżało na biurku, gdy skończył pisać.

Zadzwonił dwa razy.

Cicho, bezszelestnie jak duch wsunął się osobisty sekretarz księcia nieśmiały, szczupły młody chłopiec.

Na jego niski, pokorny ukłon książę odpowiedział niedbałem skinieniem głowy.

Podsunął mu czeki, zatrzymując pod palcem tylko jeden, górny. — Niech pan roześle te czeki podług nazwisk, wymienionych w tych czekach. Adresy znajdzie pan prawdopodobnie wśród listów dzisiejszej poczty, lub w szufladzie szafki mahoniowej w rogu saloniku.

Wszystkie listy, które pan znajdzie w szufladach i te dzisiejsze proszę wrzucić do kominka. Wszystkie bez wyjątku.

Gdy sekretarz wyszedł do swej pracowni obok, książę wyjął arkusz papieru ze swemi inicjałami i napisał parę słów swojem wyrazistem pismem.

— Wspominała pani wczoraj, że marzy o podróży do Japonji i Szanghaju — pozwalam sobie przesłać pani czek na sumę, umożliwiającą jej długą i przyjemną podróż. Paszporty dla pani i jej towarzyszki podróży zostaną Jej wydane natychmiast po zgłoszeniu się po nie. Życząc pani przyjemnych wrażeń, pozostaję przyjazny Aleksander.

Sam własnoręcznie zaadresował i zadzwonił trzy razy.

We drzwiach stanął adjutant, wyprężony, w pozycji na baczność.

Książę podał mu list.

— Proszę list ten doręczyć pod właściwym adresem przez żołnierza. Niech przyniesie pokwitowanie.

Po odejściu adjutanta wyjął z kieszeni list księżnej Franciszki, wygładził go i jeszcze raz przeczytał.

Złożył go starannie we czworo i wsunął do portfelu.

Nie mógł się zdobyć na zniszczenie go. Jedyne żywe słowo, jedyna pamiątka po swej tragicznej miłości.

Otworzył portfel i nacisnął sprężynkę. Rozchyliła się boczna ścianka i z otworu uśmiechnęła się do niego twarz Kariny.

Serce targnęło mu niezmierną tęsknotą. Przywarł ustami do wizerunku. Pożądanie objęło go jak ogniem. Aż się przeraził sam jego siły. W uszach mu szumiało, paliło w gardle.

Zerwał się z fotelu i zaczął chodzić po pokoju ,starając się opanować wzburzenie.

Nerwy jego były tak napięte, że pukanie do drzwi przeraziło go.

Upłynęła długa chwila, nim mógł zawołać — wejść!

Wszedł adjutant.

— Szef ceremonji chce się zobaczyć z Waszą Książęcą Wysokością.

Książę [illegible] zroszone potem czoło.

Stanął za biurkiem.

— Prosić!

List księżnej wsunął za fotografję i zamknął portfel. Wszedł w swą urzędową rolę.

XIII.

Zamek w tym samym czasie wrzał życiem gorączkowych przygotowań.

Od wczesnego ranka pod zamek podjeżdżały prywatne samochody, dworskie karety i pojazdy.

Na ganku przyjmowała gości ochmistrzyni dworu i szef kancelarji królewskiej. W hallu czekała na nich matka następcy tronu.

Panów kierowano do przeznaczonego dla nich lewego skrzydła, panie szły za księżną na pierwsze piętro.

Lokaje zamkowi i zapasowi, sprowadzeni z innych zamków, biegali do kredensu, kuchni z tacami ze śniadaniem i z poleceniami. Na dole w sali jadalnej przystrojono stoły kwiatami, ustawiono srebra i porcelanę.

Na schodach rozścielano sukno czerwone po przez sień zamkową, do podjazdu, zatykano chorągwie, rozwieszano wieńce.

W kuchniach zamkowych panował istny taniec szaleńców. W jednej izbie ubierano torty, pieczono ciasta, w drugiej przyrządzano sorbety, lody, bomby neapolitańskie, kompoty, kremy. W trzeciej pieczono na rożnach perliczki, kapłony, pulardy, indyki, bażanty, bekasy, kwiczoły i jemiołuszki rumieniły się przy ogniu. W czwartej wyjmowano z form pasztety, ubijano majonezy i sosy.

Naczelnym kuchmistrzom pot lał się z czoła, a głos, piszczał, jak piszczałki wierzbowe pastuszków.

Kucharze i kuchciki zwijali się czerwoni, zziajani, zmęczeni.

Uroczystość nielada i rzadka. Zjazd gości zagranicznych liczny. Król i rząd muszą godnie wystąpić, a przytem i biednym, żywiącym się okruchami ze stołu królewskiego, powinny też jakie takie ochłapy się dostać.

Tylko w pokojach zajmowanych przez księżniczkę Gabrjelę i króla Ludwika panował spokój kojący.

Księżniczka wstała wcześnie, poszła na Mszę św. odprawioną codziennie dla króla, który wstawał o godzinie 6-tej zimą i latem, a o siódmej słuchał Mszy św.

Pobożność jego wypływała z usposobienia i potrzeby duchowej. Słuchał jej w skupieniu, z pobożnością.

Modliła się księżniczka gorąco.

Dziękowała Bogu za szczęście, prosiła o przebaczenie swych wykroczeń codziennych i o natchnienie jak ma postępować, by utrzymać równowagę w duszy i zdobyć przywiązanie męża.

Wrócili razem z królem i obiema starszemi księżnemi, które dnia tego wzruszone modliły się szczerze. Jedna o szczęście dla syna, druga dla córki.

Śniadanie zjedli we czworo w małym pokoju.

Pierwsza opuściła pokój księżniczka. W tym dniu tak dla niej uroczystym nie umiała prowadzić banalnej rozmowy. Serce jej przepełnione było niepokojem i radością.

Przeprosiła króla i panie i odeszła do siebie.

Ale niedługo cieszyła się samotnością. Pierwsza wpadła do niej księżniczka Kornelja.

— Ach ty, sensatko, — wołała od progu. Niby uczona, niby nie lubiąca flirtu, kokieterji, a sprzątnęła nam młodszym, spragnionym męża dziewojom najpierwszą partję w Europie.

Tylko pilnuj go dobrze, bo podobno jest bardzo czuły na wdzięki swych poddanych — wtrąciła złośliwie księżniczka Benigna, nieładna, piegowata, ale mająca wielkie mniemanie o sobie.

— Tak... tak... potwierdza księżniczka Zuzanna, zwana przez rodzinę Zetzet, nietyle złośliwa, ile ograniczona.

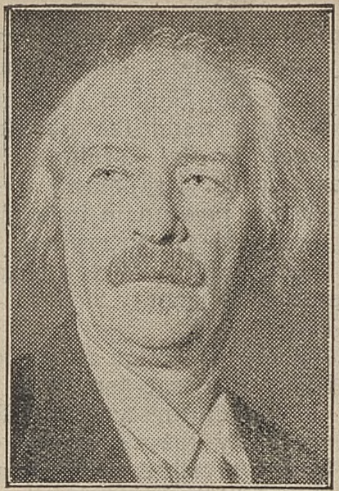
— Rudi mówił mi, że w czasie polowania był na przyjęciu kawalerskiem u księcia. Co się tam działo, to aż strach! Książe ma obecnie utrzymankę śliczną, czarnooką, czarnobrewą dziewczynę. Na imię jej... poczekajcie... zaraz... aha... Brenda. Ma być bardzo ognista i książę podobno jest bardzo pod jej wpływem, trzepała księżniczka Katarzyna.

Przykrość wielka bladością rozlała się po twarzy panny młodej. Koło ust zarysowały się dwie bruzdy, brwi ściągnęły boleśnie.

Zauważyła to księżniczka Zenobja.

— Wstydźcie się opowiadać plotki niesprawdzone i to narzeczonej w dzień ślubu — zgromiła rozgadane dziewczęta.

— Zazdrość was zjada, że nie jesteście na jej miejscu. Ot co! Zaskoczone naganą, zamilkły stropione, ale tylko



Genjalny mistrz tonów — Ignacy Paderewski obchodził w poniedziałek, 18 list. 75-tą rocznicę urodzin.

na chwilę, by znów rozszczebiotać się o sukniach, prezentach.

Księżniczka Gabrjela przyszła do siebie, zapanowała nad rozdrażnieniem, wywołanem opowiadaniem księżniczek.

Właśnie dlaczego się tak przejmuje. Wie przecież, że książę jej nie kocha, że żeni się tylko ze względów dynastycznych, że nie może spodziewać się od niego dowodów miłości lub wierności. Siłą woli otrząsnęła się z ogarniającego ją przygnębienia.

— Chodźcie lepiej zobaczyć moją suknię ślubną.

Poprowadziła je do gotowalni, gdzie na drewnianym manekinie wisiała biała jedwabna suknia, zasnuta koronką welonu i trenu, arcydzieło Paquin'a.

Wejście księżnej Marty, siostry następcy tronu, zamężnej za angielskim księciem przerwało zachwyty księżniczek.

— Dziewczęta ubierać się, bo już niedługo trzeba będzie iść do katedry. Dochodzi dziesiąta, a o jedenastej arcybiskup oczekiwać będzie państwa młodych i orszaku weselnego w kościele.

— I tobie pora się już ubierać — dodała, zwracając się do księżniczki Gabrjeli.

Razem z księżną-matką pomogła jej upiąć welon.

— Nieźle — zadecydowała — ale zbyt jesteś blada, musisz się przyróżować, inaczej będą myśleć, że jesteś ofiarą dynastyczną.

Nie czekała na protest ze strony księżniczki, posłała pokojówkę do swojej panny służący i własnoręcznie przyróżowiła policzki księżniczki.

Odsunęła ją cokolwiek i przyjrzałą się swemu dziełu krytycznie.

— Teraz lepiej. Spójrz. Oczy ci więcej błyszczą i twarz nie wydaje się tak długa. Będziesz musiała stale używać różu i ołówka do brwi. Sandro lubi ładne, eleganckie kobiety.

Księżniczka przejrzawszy się w lustrze, przekonała się, że księżna miała rację. Różowy cień na policzkach podniósł blask jej oczu, zaokrąglił trochę zbyt wydłużoną twarz. Uśmiechem podziękowała księżnie za życzliwość.

— O jedenastej wspaniały orszak ślubny szedł po suknem wysłanej alei, wśród szpaleru błyszczących odświętnych mundurów i wyczyszczonej, obnażonej broni.

* * *

Po powrocie ze ślubu czekały ich przemówienia delegatów, pochody hołdownicze. Musieli pokazwać się tłumom, stojąc obok siebie na balkonie, kłaniać się, posyłać uśmiechy.

Po uczcie nowe delegacje, nowe pochody, życzenia, okrzyki, ukłony, uśmiechy.

I tak w kółko przez dwanaście godzin.

Pochód kolejarzy z muzyką, długi ruchomy wąż pochodni i okrzyk donośny z paru tysięcy piersi: „niech żyją" zakończył te ceremonje.

Księżna Gabrjela ledwo trzymała się na nogach. Z jaką rozkoszą położyłaby się choć na chwilę do łóżka i zamknęła zmęczone powieki, ale nie miała możności.

Jej służąca została zaraz po ślubie odesłana z osobistemi rzeczami księżnej do pałacu następcy tronu, pokój ogołocony z tualetowych przyborów. Nie miałaby się w co przebrać nawet.

Zauważył jej zmęczenie król, szepnął coś następcy tronu, który zajęty był rozmową z ambasadorem hiszpańskim. Następca tronu skinął na adjutanta i wydał mu rozkaz, by szofer zajechał samochodem pod boczny ganek zamkowy.

Przeprosiwszy ambasadora podszedł do żony, słuchającej w milczeniu opowiadania o podróży do Japonji, którą księżniczka Eufemja odbyła z ojcem.

Możebyś chciała pojechać już do domu — szepnął jej do ucha. Szofer już czeka. Wymkniemy się niepostrzeżenie.

Skinęła mu głową na znak zgody, a gdy odszedł, położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki.

— Nie gniewaj się, że odejdę. Jestem bardzo zmęczona, chcę odpocząć.

— Nie dziwię ci się, ja bym już dawno zemdlała z wyczerpania.

* * *

Otulił ją w futro i odjechali, ucieszeni, iż udało im się wymknąć niepostrzeżenie.

Gdy szofer zatrąbił przy bramie pałacowej, stróż na widok następcy tronu nacisnął trzy razy alarmowy dzwonek, łączący bramę z pałacem.

Książę jedzie — zahuczała wieść po zamku, dotarła do wszystkich zakątków.

Pałac w jednej chwili zapłonął światłem. Służba zerwała się z łóżek, na których w oczekiwaniu na nowożeńców spała w ubraniu i nim auto, wiozące młodą parę, podjechało na podjazd, już stali tam mistrz ceremonji, ochmistrzyni, parę dam dworu i szereg liczny służby tak męskiej, jak i żeńskiej.

Gospodyni w czarnej jedwabnej sukni dygnęła nisko, podając księżnie na złotej tacy chleb i sól.

Księżna ułamała kruszynkę chleba, umoczywszy ją w soli, podniosła do ust, dziękując ochmistrzyni uprzejmym uśmiechem i przyjaznem skinieniem głowy.

— Jej wysokość jest bardzo zmęczona, proszę ją odrazu zaprowadzić do

apartamentów, przeznaczonych dla niej — rzucił książę rozkaz ochmistrzyni, a sam, ukłoniwszy się ogólnie zebranej świcie, skierował się do swoich pokojów.

Tak był senny, że ledwo doczekał się wyjścia lokaja. Usnął natychmiast, jak tylko drzwi zamknęły się za służącym.

Księżna mimo zmęczenia nie spała. — Nadsłuchiwała, czy nie usłyszy kroków księcia. Podświadomie spodziewała się jego wizyty.

Na wieżowym zegarze biła godzina trzecia, czwarta, piąta, a ona jeszcze nie spała. Dopiero koło szóstej usnęła.

Zbudziła się z ciężkim bólem głowy i dreszczami zmęczenia. W pokoju panował mrok. Nie dochodziło światło z ulicy przez szczelnie zasłonięte okna, przesączało się jedynie poprzez tiul i jedwab firanek.

Poomacku poszukała dzwonka, przymocowanego do poręczy łóżka.

Na odgłos dzwonka wsunęła się do sypialni służąca, a za nią dama dworu.

Powitały ją niskim ukłonem.

Znała je. Służącą zgodziła sama, wybrawszy najzręczniejszą z dwustu kandydatek. Damy dworu zostały jej przedstawione przez mistrza ceremonji na parę dni przed ślubem.

Sześć ich miało stanowić jej dwór i świtę.

Były to żony wyższych urzędników i dostojników państwa.

Do obowiązków ich należało dyżurowanie w pałacu na zmianę i dniem i nocą, być stale obecną, gotową na rozkazy.

W nocy dyżurna dama dworu siedziała w specjalnej poczekalni, obok sypialni królowej.

Nie wolno jej było kłaść się spać, oddalać z pokoju, wpuszczać kogokolwiek do sypialni monarchini poza królem.

W dzień towarzyszyły królowej na spacerach, podczas wyjazdów, jadły z królową posiłki, bawiły gości, pomagały w załatwianiu korespondencji, w opiekowaniu się instytucjami dobroczynnemi.

XIV.

Hrabina Leonja Kolrinah, żona łowczego dworu, niebrzydka, elegancka osóbka dygnęła głęboko przed Jej Królewską wysokością. Gdy służąca rozsuwała firanki, ona, uśmiechając się przymilnie, zasypała księżnę gradem słów.

— Czy jej wysokość będzie jadła śniadanie w łóżku, czy w śniadalni obok?

— W saloniku. Zaraz wydam rozporządzenie ochmistrzyni.

Z głębokim ukłonem wycofała się z pokoju.

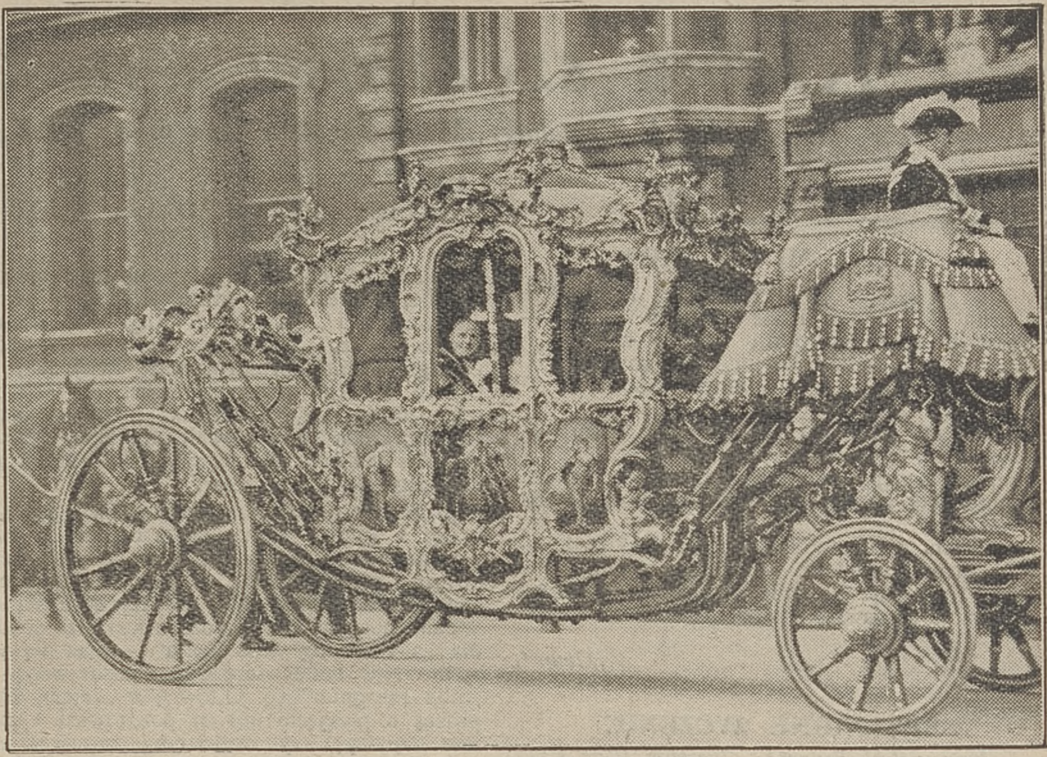
Księżna przymrużonemi oczami przyglądała się krzątaniu służącej.

— Niebieski, czy lila szlafrok włożyć dziś Jej wysokość? A może biały?

Z łazienki dochodził szum puszczonej z kranu wody, z sąsiedniego pokoiku dyskretne brzęczenie srebra i porcelany.

Szum wody ustał, zaszurały ciche kroki oddalającej się pokojówki.

Służąca przyniosła księżnie jedwabny płaszcz kąpielowy, nałożyła jej na nogi buduarowe pantofelki tego samego koloru co płaszcz i księżna przeszła do łazienki, gdzie posadzka wysłana była



Stosownie do tradycji, objęcie urzędu przez nowego lorda mayora Londynu odbywa się bardzo uroczyście. Nowy lord mayor udaje się do ratusza w złocistej karocy w otoczeniu wspaniałego orszaku, poprzedzonego przez przybranych w tradycyjne stroje heroldów. Na ilustracji widzimy nowego lorda mayora Sir Percy Vincenta, gdy w złocistej karocy przejeżdża przez ulice Londynu, udając się do ratusza.

matą, zasłana korkowym dywanem, błyszczała porcelanowa wanna pełna ciepłej wody, na stoliczku obok — leżał rząd gąbek i mieniła się kolorami baterja flakonów kryształowych z solami pachnącemi.

— Jaki zapach rozkaże wasza wysokość — spytała panna służąca, trzymając rękę na flakonach.

— Jaśmin — odpowiedziała bez namysłu, lecz nagle przypomniała sobie, że jaśmin, to ulubiona perfuma księżnej Franciszki.

— Nie, werbena — zmieniła rozkaz.

Leokadja zamknęła trzymany w ręku flakon i wzięła drugi. Woda zmąciła się na odcień opalowy, by z powrotem odrazu stać się przezroczystą.

Księżna umoczyła palce w wodzie.

— Czy nie za gorąca dla Jej wysokości?

— Nie, dobra.

A gdy służąca nie kwapiła się do odejścia, księżna zmarszczyła lekko brwi ruchem zniecierpliwienia.

— Możesz odejść.

— Nie będę potrzebna Jej wysokości? zdziwiła się dziewczyna.

— Przysuń mi ręczniki i płaszcz i czekaj w sypialni.

Dziewczyna wyszła.

Księżna z przyjemnością zanurzyła się w ciepłej pachnącej wodzie.

— Właściwie powinnam była zatrzymać dziewczynę, żeby mnie wymyła — myślała wyciągając się w wannie, ale nie lubię, by mię oglądano nagą i krytykowano może, choć taka dziewczyna się nie liczy, ale zawsze.

— Nikt z genjuszów i królów nie jest wielkim człowiekiem dla swego lokaja właściwie dlatego, że zbyt często oglądają go nagim, bez osłonek, szmatek etykiety.

Rozweselona energicznie wodziła gąbką po swojem jędrnem, gładkiem, jak aksamit ciele, żwawo pluskała się w wodzie. Wreszcie zakończyła kąpiel prysznicem.

Zawinęła się w włochaty biały płaszcz i zadzwoniła.

Leokadja zjawiła się natychmiast. Wprawnemi ruchami wytarła jej nogi i osuszyła ją całą.

Podsunęła wygodny, niski, kryty błękitną jedwabną materją fotel i wyczyściła jej paznokcie u nóg, polakierowała i wsunęła stopy w białe atłasowe pantofelki.

Zabrała się natychmiast do paznogci u rąk. Ten podszlifowała, tamten zaokrągliła, a wszystkim nadała modną barwę i połysk.

— Jakiego koloru Jej wysokość raczy włożyć dziś koszulę? — padło znów pytanie służącej.

— Białą — odpowiedziała znudzona.

Śmieszyły ją trochę, ale i nużyły te ceremonje.

Dotąd ubierała się sama.

Jeszcze pół godziny na uczesanie i otulona w biały wełniany szlafrok, przybrany futrem białych wiewiórek przeszła do sąsiedniego pokoju na śniadanie.

Już była przy drzwiach, gdy Leokadja zatrzymała ją nieśmiałą uwagą.

— Jej wysokość taka blada, możeby różu trochę.

Roześmiała się.

— Nie mam różu... nie używałam go dotąd. Jeżeli uważasz, że jest on mi potrzebny, możesz go kupić.

— Tak... jej wysokość... dziś jeszcze to załatwię — „Bourjois Mandarine" będzie najodpowiedniejszy — zadecydowała, otwierając jej drzwi.

W saloniku, a właściwie jadalni — nakryty był stół na dwie osoby. W kryształowych wazach złociły się pomarańcze, jabłka, gruszki.

Pod oknem stała już dama dworu — przy kredensie oczekiwali dwaj lokaje w kurtkach i białych rękawiczkach.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

CZEMU MI SMUTNO?

„Duśce" — poświęcam.

Czemu mi smutno i źle w ludzi tłumie —
Świat przecież taki piękny jest w koło...
Czemu śród ludzi nikt mię nie rozumie,
Dlaczego mi smutno, gdy innym wesoło.

Czemu mi smutno i źle w ludzi tłumie —
Czemu łzy srebrne przysłaniają oczy...
Inni się śmieją, ja choć chcę — nie umiem.
Smutek jak wierny cień wciąż za mną kroczy.

— Czemu ci smutno? — zapyta ktoś może —
Cóż mam powiedzieć — banalne pytanie...
Świat ten — nie dla mnie... tak smutno mi Boże!
Dla mnie na zawsze smutek pozostanie.

„Giaur".

SPEŁNIONE ŻYCZENIE

„Marzycielski Brunet". Życzeniu Pana stało się zadość: od dzisiaj należy Pan do grona naszej „Rodzinki", ma prawo zwracać się do mnie w wszelkich potrzebach i wątpliwościach, a jeżeli przyjdzie ochota nawiązać bliższy kontakt z członkami „Krainy". Za pozdrowienia dziękuję i ślę Panu z oddali dużo serdeczności.

BARDZO KRÓTKI APEL

„Verte" dziękuje „Te-Em" za pozdrowienia, odwzajemnia je i prosi, aby „Te-Em" do Niej napisał.

HALLO! „WU-EL"!

„Wu-El". „Roztańczona — rozśpiewana Pomorzanka wysłała Panu na poste-restante list i poleciła mi o powyższem zawiadomić Pana.

MIŁE POZDROWIENIA

„Smutny Fel". Dlaczego „smutny", nie wiem, bo mało pisze o tem, dowiedziałam się tylko, że jest ciemnym blondynem, średniego wzrostu, marzycielem i zwolennikiem sztuk pięknych. Przepada za muzyką, to też w wolnych chwilach poświęca się ulubionej grze na skrzypkach i mandolinie. Bardzo miłe pozdrowienia przesyła „Dzince" i „Dzikiej Cygance."

Jeżeli ktoś z Sympatyków zainteresuje się „Smutnym Felem", niech nadeśle list dla Niego na moje ręce.

DZIĘKUJĘ!

„Kropelka z nad Brdy." Dziękuję Pani za dobre słowa, zawarte w liściku. Ogromnie zaabsorbowała mnie Pani uwagą, że w „Krainie" został umieszczony wiersz, który okazał się naśladownictwem. Proszę, niech Pani mi w następnym liście prześle tekst wymienionej piosenki, a także poda nr. „Moich Pow." w którym ukazał się plagjat. Bardzo będę Pani wdzięczna! Czekam więc i całuję Cię, Kochana „Kropelko", jak najserdeczniej.

BĄDŹMY MŁODZI I RADOŚNI

„Boginka". „Nie powinniśmy się trapić smutnemi myślami, gdy jesteśmy młodzi..." — pisze Pani. Słusznie! Nie powinniśmy, bo cóż byłaby młodością i radością. Młodzieniec lub panienka o chmurnej twarzy i zgryźliwem pesymistycznem usposobieniu, to przecież „młodzi staruszkowie". Tym będzie zawsze źle w życiu i nigdy nie będą posiadali prawdziwej, słonecznej młodości. Nie martwmy się więc — i bądźmy radośni w młodości.

Bądźmy tak słoneczni, jak „Boginka", która potrafi się cieszyć każdą jasną chwilką w życiu, ale potrafi także i godnie cierpieć. Cicho i rozsądnie! Bierzmy z niej wzór!

Dzielna „Boginka" odwzajemnia pozdrowienia „Ord-Oma" i prosi go o liścik. Przesyła także serdeczne pozdrowienia „Uśmiechowi Lata" i „Bogince II".

DWAJ SYMPATYCY „KRAINY" — ANGLICY, PRZYJEŻDŻAJĄ ZNOWU DO POLSKI

„Well". Nietylko ja przypominam sobie doskonale, zamieszczony przed rokiem w „Krainie szczerości", list dwoch Anglików, ale napewno i dużo Czytelników „Moich Powieści". Dlatego właśnie przedrukowuję niżej list, zapewnie dobrego przyjaciela tych Panów i żywię nadzieję, że Sympatyczka „Krainy", którą się tak bardzo zainteresowali „zamorscy goście", da jakiś maleńki znak o sobie. Oto słowa nadesłanego listu z Tczewa:

„Zapewne przypomina sobie WPani pp. Kelly'ego i John'a, którzy na początku 34 roku korespondowali z WPanią. Otóż dopiero teraz otrzymałem wiadomość, że panowie ci wracają niedługo do Polski, a w międzyczasie ślą dla WPani moc uścisków i pozdrowień z za oceanu, dla „a charming Miss Zofja" — jak się wyrazili. Nie mniej serdecznie pozdrawiają p. „miss Incognito" (p. Ottównę z Czajcz), którą proszą o przyjęcie miłych pozdrowień i zarazem zapytują, czy zechciałaby zaszczycić odpowiedzią ich list, który wyślą do Niej po powrocie do Polski. Proszę uprzejmie w imieniu tych panów, o łaskawe pośrednictwie z p. „Incognito". Łaskawą odpowiedź proszę zamieścić w „Krainie" pod szyfrą „Well". Panowie mają dla pani „Incognito" dużo ciekawych i interesujących ją rzeczy, więc odnowiona korespondencja przyniosłaby napewno wynagrodzenie za tak długie milczenie, jakim się otoczyli ci panowie.

z szacunkiem

„Well".

ODWZAJEMNIENIE

„Pell." Odwzajemniając się za pamięć i przesyłam Panu wiele pozdrowień i szczery, przyjacielski uścisk dłoni.

Nie zapominam również przesłać w imieniu Pana pozdrowień „Lence", wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom.

„KRAINA" UMIĘDZYNARADAWIA SIĘ — GRONO SYMPATYCZEK POWIĘKSZYŁA FRANCUZKA

„Paryżanka" i *„Mira II"*, dwie młode panienki, rzucone losem w obce strony, pozbawione serdecznych przyjaciół i znajomych zwracają się do mnie z utnośćią, prosząc o pośrednictwo w nawiązaniu korespondencji.

Prośbie czynię zadość i rekomenduję naszej „Rodzince", a także polecam łaskawej pamięci dwie nowe Sympatyczki.

„Paryżankę" — typową Francuzkę, zagnaną dziejową zawieruchą do małego, polskiego miasteczka i „Mirę II" — studentkę — Polkę, zagnaną „zawieruchą kryzysową" do tej samej miejscowości, gdzie zamieszkuje „Paryżanka". Obydwie te Panie chciałyby skimś szczerze pogawędzić i drogą rzeczowej korespondencji rozszerzyć widnokrąg własnych zainteresowań i poglądów. Przesyłają pozdrowienia „Jerzemu", „Waldemu" i „Błękitnej Panterze z Jarocina".

TĘSKNOTA ZA PRZYJAŹNIĄ

„Tęsknota z Działdowa." „O, nie marz dziewczę! Marzenia gasną, jak te gwiazdeczki, co drżą w błękicie, które się rodzą w każdą noc jasną i mrą o świcie..." Przeglądając kiedyś mój pamiętniczek z szkolnych czasów, znalazłam w nim ten prościuteńki, miły wierszyk. Dzisiaj polecam go uwadze Pani i daję, jako odpowiedź na pierwszą część Jej listu.

Następnie przystępuję do spraw tak realnych jak płacenie prenumeraty. Otóż dobrze Pani zrobiła, uiszczając abonament za pomocą przekazu. Ten system niech Pani stosuje dalej, gdyż jest najprostszy i najdogodniejszy.

A teraz uwaga, Drodzy Sympatycy, gdyż oddaję głos „Tęsknocie": „Tęsknię za kimś, któryby choć na chwilę mnie zrozumiał i proszę kogoś o skreślenie paru słów. Napewno się na mnie nie zawiedziecie. Łączę wiele serdeczności dla mych „Siostrzyczek i Braciszków".

PRZEŚLIJCIE DUŻO POGODNYCH SŁÓW!

„Smutna Indjanka". W dwa dni po oddaniu przeze mnie do druku odpowiedzi na przedostatni list, otrzymałam od Pani nowy list pełen zwierzeń i szczerości.

Przeżycia Pani, w nim zawarte, są wprost rewelacyjne. Ktoś o bujnej fantazji mógłby na ich podstawie napisać tomy.

Nie dziwię się już teraz, dlaczego Pani jest smutną. Kogo los w ten sposób prześladuje, ten traci na długo spokój i równowagę ducha i potem trzeba miesięcy, a nawet lat, aby odzyskać na nowo pogodę i jakie takie samopoczucie.

Przesyłam Pani dużo serdeczności i apeluję do dobrych serduszek Przyjaciół i Przyjaciółek „Krainy", aby napisali do Pani i Ją pocieszyli.

Sprawę przesyłania „Moich Powieści" załatwiła administracja.

UŚMIECHNIJCIE SIĘ!

„Wesołe Łobuzy." Pseudonim bardzo trafny! Myślę, że przyznają to wszyscy, którzy przeczytają list „Wesołych Łobuzów", zamieszczony naturalnie po przejściu przez moją cenzurę:

„Hallo! Hallo! Tu dwóch rycerzy XX wieku, zamieszkujących ziemię Wielkopolski. Znudzeni ogromnie monotonnem życiem w naszej krainie, postanowiliśmy się przenieść do nowoodkrytej „Krainy". Jako nowi obywatele prosimy p. Zofję o wyrobienie nam posad, według podanych kwalifikacji:

1) Blondyn o rozwichrzonej czupurynie (coś w rodzaju kaukazkich baranów) i błękitnych oczach. 2) Płowy szatyn o oczach koloru ultramaryny (O nieba, cóż to muszą być za oczy!!!) i dużych ustach — „od ucha do ucha". Oboje posiadamy zgrane, samostrojące nerwy koncertowe i jesteśmy członkami koła: „Przyjaciół Ochrony Szkolnych Wagarzystów". Kto napisze do nas — otrzyma napewno odpowiedź.

WYRAZY WSPÓŁCZUCIA

„Elżunia z Torunia". Po długich, długich tygodniach otrzymałam znowu liścik od Pani. Dowiaduję się z niego, że była Pani bardzo chora, przesyłam więc Jej szczere wyrazy współczucia. Musi być Pani teraz nadzwyczaj ostrożną i ciepło się ubierać, gdyż obecne powietrze jest bardzo groźne dla osób skłonnych do anginy.

Życzę Pani jak najszybszego przejścia z stanu rekonwalescencji do całkowitego zdrowia i załączam dużo pozdrowień.

„SMUTNO MI"...

„Samotny Sokół" przesyła pozdrowienia: „Sabci z nad Brdy", „Śpiewającemu Słowikowi" „Bogince II", „Łobuzowi w spódniczce" i skarży się:

„Smutno mi płynie życie, proszę więc kogoś o napisanie pogodnego liściku. Czuję, że taki list potrafiłby mnie rozweselić i rozproszyć smutki wolno płynących chwil, jakie nieraz samotnie przeżywam. Będę bardzo wdzięczny tym, którzy zainteresują się moją osobą."

WSZELKIE POLECENIA — WYPEŁNIAM

„Wesoła Zosia". Książkę Heleny Mniszek pod tyt. „Trędowata", otrzyma Pani w każdej większej księgarni.

Wszelkie polecenia Pani wypełniam skrupulatnie i w pierwszym rzędzie zwracam się do „Dumnego Lwa", dziękując Mu w imieniu Pani za pozdrowienia, dalej zapytuję „Opuszczonego Ślązaka" dlaczego zamilkł, „Głos z puszczy", proszę o napisanie chociaż krótkiego listu do „Wesołej Zosi", oraz ślę pozdrowienia: „Jadźce z Kujaw", „Żądłu" i „Marzycielowi z pod Kościana."

W ODPOWIEDZI NA LIST „OPUSZCZONEJ OWIECZKI“

„Opuszczona Owieczka.“ Najpierw odpowiem Pani na postawione mi pytanie: a więc listy do Sympatyków wystarczy tylko włożyć do koperty, naturalnie zaopatrzone w pseudonim i wysłać do mnie. To najzupełniej wystarczy.

Następnie przesyłam Pani serdeczny uścisk dłoni, na znak paktu przyjaznego zrozumienia dwóch dusz. Posiada Pani usposobienie podobne do mego. Z przyjemnością odczytuję myśli Pani, zaklęte w dobre, ciche słowa na białych kartkach papieru. Trafiają mi zawsze do przekonania i budzą w sercu dużo sympatji dla Pani. To też proszę o jak najwięcej tych jasnych słów.

BRAK PSEUDONIMU

„Zbąszynianka“. Ponieważ nie podała Pani w liście żadnego pseudonimu, nadałam Pani sama powyższy. Chyba jest Pani z niego zadowolona, a jeżeli nie, proszę, niech Pani go zmieni na inny. Pomimo, że nie otrzymałam od Pani żadnej aprobaty w tym kierunku, pozwolę sobie zamieścić liścik Pani. Jest taki miły i bezpretensjonalny, więc każdy go chętnie przeczyta:

„Kochana Pani Zofjo! Po długiem wahaniu się i ja postanowiłam do Pani napisać. Jestem od dłuższego czasu czytelniczką „Moich Powieści“, które mi się bardzo podobają, a zwłaszcza „Kraina szczerości“.

Mieszkam w małem, kresowem miasteczku. Samo miasto jest nieciekawe, ale za to posiada piękne okolice, dużo lasów, ładne jezioro i rzekę. Na nudy nie narzekam. Wiosną chodzę dużo do lasu, zwykle w towarzystwie mego czworonogiego przyjaciela Lorda, lub wyjeżdżam rowerem na przechadzkę. Latem kąpię się codziennie w jeziorze, plażuję, jeżdżę kajakiem, no i pływam — co sprawia mi największą przyjemność. Obecnie moją ulubioną grą, to siatkówka. Zimą znów łyżwowanie. Oczywiście wymieniłam tylko moje rozrywki, na które poświęcam dziennie 1—2 godzin. Pozatem mam dużo pracy, gdyż spoczywa ona na mnie tylko i na mej matce.

W sierpniu br. byłam w Zakopanem z okazji „Święta Gór“. Ach, co to była za rozkosz, to całodzienne łazikowanie po gorach. Byłam tak zachwycona cudnemi krajobrazami, że łzy cisnęły mi się do oczu z radości, że to wszystko mogłam zobaczyć.

Zwiedziłam między innemi Morskie Oko, Czarny Staw, Jaszczurówkę — wdarłam się na szczyt Giewontu.

Po przeczytaniu powyższego wyda się Pani może, że jestem szczęśliwą i zadowoloną z losu. Niestety, tak nie jest. Czuję czasami dziwną pustkę w duszy, brak mi czegoś, a raczej kogoś, ktoby mnie zrozumiał, dla kogo mogłabym być promykiem słonecznym.

Kończę już jednak i przesyłam pozdrowie- „Dzince“, „Jadźce z Kujaw“ i „Azie“. Ucieszyłabym się bardzo, gdyby ktoś z Czytelników do mnie napisał. A może „August“, „Fleur“ lub „Largo“ odezwią się pierwsi?

LIST Z NAD MORZA

„Etjopka“. Szczęśliwa jest Pani, mogąc w pełni korzystać z dobrodziejstw morza. Cieszyłabym się bardzo, gdyby udało mi się w towarzystwie Pani pożeglować kiedyś po Bałtyku. No, mam nadzieję, że okazja do tego prędzej czy później się zdarzy, przesyłam więc Pani szczery uścisk dłoni i zamieszczam niżej Jej miły liścik:

„Mieszkam w wielkiem mieście, Jedyną moją rozrywką, którą nad wszystko przekładam, to słuchanie „śpiewu“ morza, to też wszystkie wolne chwile przepędzam w jego pobliżu i często wyjeżdżam żaglówką na wycieczki. Naturalnie w towarzystwie brata, ponieważ nie jestem jeszcze dostatecznie wtajemniczona w arkana sztuki żeglarskiej, a zresztą pod dobrem kierownictwem brata, który dobrze zna się na żeglarstwie (jest oficerem M. W.), wycieczki udają się świetnie.

A teraz coś o sobie: jestem już „stara“ — 21 lat, ciemno blondyną o wielkich piwnych oczach i marzycielką. Ale trudno nią nie być, mając za powiernika myśli niezgłębione, cudne morze. Góry kocham również. Będąc na studjach w Krakowie, miałam często możność wyjeżdżać w Tatry. Dlatego też poznałam dobrze ich okolice, również Wschodnie i Zachodnie Beskidy.

Może ktoś z Czytelniczek lub Czytelników pragnie się zemną podzielić, drogą korespondencji wrażeniami z odbytych wycieczek w góry lub po morzu? Bardzo chętnie na taki list odpowiem.

Z radością nawiązałabym korespondencję z pp. „Jerzym“ i „Waldym“.

Na zakończenie ślę pozdrowienia: „Nenufarowi“, „Brzydkiej Kaszubce“, „Sokołowi z Mazowsza“ i „Largo“.

(Domysły Pani są błędne — p. „Dusia“ nie pochodzi z Małopolski.)

„CHCIAŁABYM KORESPONDOWAĆ“..

„Isienka“ przedstawia się naszej „Rodzince“: „Jestem wysoką, szczupłą Ślązaczką o wesołem usposobieniu. Lubię muzykę, śpiew, przyrodę i sport najwięcej, jednak lubię uprawiać „sport“ w kuchni. Jednakże okazji do tego mam bardzo mało, gdyż jestem urzędniczką biurową. Pracuję do godziny 3-ciej, to też dysponuję sporą ilością czasu i chętnie chciałabym korespondować z jakimś miłym Czytelnikiem „Moich Powieści“.

Przesyłam pozdrowienia „Jerzemu“ i „Waldemu“. A może ten ostatni cokolwiek do mnie napisze?"

Teczka Wujka Janusza

NIE ŻAŁUJ!

Chociaż twe życie, to droga udręczeń,
Choć jeszcze nie znasz celu dalekiego,
I choćbyś wiele dał z siebie poświęceń —
Nie żałuj tego!

Chociaż twe życie tak smutne i trudne,
W codziennej walce, wobec silniejszego,
I choć żeś stracił wiarę w szczęście złudne —
Nie żałuj tego!

Jeśli straciłeś to, co masz najdroższe,
Co stanowiło część jestestwa twego —
To nie myśl o tem — skoro już odeszło —
Nie żałuj tego!

„Dzinka“.

ODWZAJEMNIJCIE LIŚCIKAMI

„Te-Em“. Trochę spóźnioną odpowiedź tłumaczę wielkim nawałem pracy i korespondencji. Sądzę, że to mnie usprawiedliwi w oczach Pana?

Za dokładny opis lekkoatletycznych międzyszkolnych zawodów w Poznaniu — dziękuję. Czytając, mimowoli przypomniały mi się moje lata szkolne, kiedy i ja walczyłem o palmę zwycięstwa na zawodach footbalowych lub hokejowych, a potem wracałem rozentuzjazmowany do domu, względnie zgaszony niepowodzeniem. Oj! miłe to były lata, już chyba drugich takich nie będzie.

Rzucam jednak moje wspomnienia i powracam do spraw Pana. Miałem przesłać w imieniu Pana pozdrowienia kilku Paniom. Uwaga więc — „Cyganeczko“, „Verte“, „Wesoła Wandulko“ i „Paziu“! — „Te-Em“ śle Wam jak najserdeczniejsze pozdrowienia. Odwzajemnijcie je liścikami! (Wyobrażam sobie, jak Panienki są zgorszone tą moją kategoryczną propozycją — a może nie?)

OCZEKUJĘ PANA

P. M. Ch. Ucieszyłem się, mój stary Przyjacielu, Twoim listem. Dawno już Pan nie pisał, nawet byłem ciekawy dlaczego — i oto dowiedziałem się, że powodem milczenia była praca.

Z jak największą chęcią przekazuję w imieniu Pana pozdrowienia: „Samotnej Polnej Stokrotce“, „Paziowi“ i „Królewnie z bajki“.

Na wizytę, cieszę się bardzo. Wyobrażam sobie, jaką miłą utniemy sobie wspólną pogawędkę.

Wiersze, które Pan wymienił w liście, nie będą drukowane. To jeszcze mało, gdy sobie powie autor, że jego utwory są „szczere i miłe“, musi to stwierdzić także i krytyk. Serdecznie Pana pozdrawiam i oczekuję Go w redakcji.

NIKT SIĘ NIE DOWIE

Pani Zofji — poświęcam.

Nikt się napewno nie dowie o tem,
Że każdy uśmiech mój jest udany,
Że noszę w sercu wielką tęsknotę,
Za kimś nad życie całe ukochanym.

Nikt się nie dowie, iż w jasne noce,
Kiedy na niebie lśni gwiazd miljony,
Serce się z bólu ciągle szamoce,
Skarży się w płaczu nieutulonym.

Lecz w moich oczach łzy nie zobaczysz,
I nie domyślisz się, co w sercu noszę,
Bo wszystkie smutki, które los przeznaczył,
To jakby rajskie jakieś rozkosze.

„Te-Em“.

„BLANKA“ PISZE BARDZO MIŁE LISTY

„Blanka“. Masz bardzo miły sposób gawędzenia ze mną, Droga p. „Blanko“. Lubię wsłuchiwać się w ten Twój „szczebiot“. Mówisz mi zwykle dużo i o wszystkiem, a ja słucham i zawsze żałuję, że to już koniec listu, że nic się już więcej nie dowiem. Tak było i tym razem. Westchnąłem szczerze, gdy drugą stronę listu zobaczyłem białą — pustą. Trzeba ją było zapisać, Pani „Blanko“! Proszę się na drugi raz poprawić!

Z całego tomu wierszyków („tomu“, bo inaczej tego stosiku nazwać nie mogę!) wybrałem do druku 3: „Z minionych chwil“, „Twoja fotografja“ i „Nie smuć się...“

A teraz żegnam Panią i spodziewam się nowej przesyłki.

NIE SMUĆ SIĘ

Dla „Białej Uajali“.

O, smutna „Biała Uajali“,
Nieznana witam Cię z oddali!
W „Krainie“ wszyscy Cię kochają
I chętnie wiersze Twe czytają.

O smutna, „Biała Uajali“,
Ślę Tobie uśmiech mój z oddali,
Wierzaj mi, że w ludzi mrowisku
Tyś dla mnie tak dziwnie jest blisko.

O smutna, „Biała Uajali“,
Myśl moja mknie na tęsknot fali,
Do Ciebie, „Siostrzyczko“ Kochana —
Jam Ci życzliwa, choć nieznana.

„Blanka“.

Raj kobiet

Dla podlotków





J 74 050/051 Bardzo ładna sukienka z kolorowo nakrapianego tweedu, przybrana stebnowaniami. Oryginalna, dwukolorowa dekoracja przy szyi i guziki są dostosowane barwami do całości. Na tę miłą sukienkę nakłada się trzyćwierciowy kabat, ozdobiony również stebnowaniem i trzema guzikami.

J 74 052. Skromny, sportowy płaszczyk dla młodej panienki z prążkowanej wełny. Kołnierz z długowłosego futerka. Pasek i guziki w ciemnych kolorach.

Kroje powyższe (Lyona) nabyć można w naszej administracji za poprzedniem nadesłaniem 1,90 zł przez P. K. O. nr. 207.393.

RADY PRAKTYCZNE

Tani lakier do podłóg

Podłogi lakierowane, które przez częste wycieranie mokrą ścierką straciły połysk, odświeżać można w następujący sposób: Do ćwierć litra oleju lnianego wbić dwa białka, dobrze rozkłócić i umaczanym w tym płynie kawałkiem flaneli wycierać podłogę. Gdy przeschnie, będzie jak świeżo malowana.

Sposób prędkiego nadania połysku posadzce

Chcąc mieć posadzkę bardzo błyszczącą i śliską n. p. przed zabawą taneczną należy posypać ją kwasem bornym sproszkowanym, lub utartą stearyną i wyfroterować. Będzie lśniła jak szkło. Sposób ten dobrze jest stosować na podłogi z miękkiego drzewa, lub zapuszczane farbą olejną,, które z konieczności bardzo często muszą służyć do tańca.

DOBRA GOSPODYNI

Przechowywanie jabłek i gruszek na zimę

Owoce przeznaczone do przechowania na zimę muszą być z samych późnych, specjalnych zimowych gatunków, nie otrząsane, lecz obrywane na drzewie i to w dzień pogodny i suchy. Odnosi się to przeważnie do jabłek i gruszek, które należy układać w piwnicy, ogonkami do góry, na drewnianych półkach, wyłożonych grubo długą równą słomą, w pewnych odstępach jedno od drugiego, tak, aby się nie dotykały wzajemnie.. Od czasu do czasu należy je przebierać i usuwać nadpsute, gdyż łatwo się zarażają.

Delikatniejsze i osobliwsze gatunki należy obwijać każde z osobna w bibułkę i układać w beczce lub skrzyni, przesypując je obficie dokładnie wysuszonemi plewami owsianemi. Od czasu do czasu i te jabłka należy przeglądać i nadpsute usuwać.

Najciekawe audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dnia 24 listopada 1935 r.

9.00 Audycja poranna 10.00 Transmisja nabożeństwa z Łodzi 11.00 Muzyka religijna 12.15 Poranek z Wilna. W przerwie około godz. 13.00 fragm. słuchowiskowy „Rozmowy na tamtym świecie" 14.00 „Legendy opowiadane córce" — Adama Mickiewicza 14.200 Muzyka z płyt 15.00 Godzina rolnika 1600 Łamigłówki 16.15 Recital fortepjanowy 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Muzyka taneczna 17.40 Migawki regjonalne 18.00 „Pół godziny z Wiednia" — piosenki 18.30 Słuchowisko „Dwa okna na piątem piętrze 19.40 Wiadomości sportowe 19.445 Co czytać 20.00 Koncert z udziałem Jerzego Czaplickiego 20.45 Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego 20.50 Dziennik wieczorny 21.00 Na wesołej lwowskiej fali 22.00 „Spacer po Europie" 23.05 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 25 listopada 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Mała orkiestra Polskiego Radja 13.25 Chwilka gospodarstwa domowego 15.30 Muzyka wokalna 16.00 Lekcja języka niemieckiego 16.15 Koncert kwintetu salonowego Adamskiej-Grossmanowej 16.45 „Ideal Prim" — skecz 17.00 Kooperatystki przy pracy — reportaż 17.15 Minuta poezji 17.20 Koncert solistów 17.50 „Świat zwierząt w Abisynji" — pogadanka 18.00 Trio op. 97 na dwa oboje i rożek angielski — Beethowena 18.30 Listy od dzieci 18.45 Muzyka 19.00 „Skrzynka rolnicza" 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Koncert kapeli ludowej 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 Wieczór literacki ku czci Adama Mickiewicza 21.45 Koncert symfoniczny z udziałem S an. Zawadzkiej 22.45 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 26 listopada 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 „Śpiewamy piosenki" — audycja dla szkół 12.30 Muzyka 13.25 Chwilka gospodarstwa domowego 15.30 Koncert 16.00 Skrzynka P. K. O. 16.15 Orkiestra pracowników Dyr. Tramwajów i Autobusów Miejskich 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 „Luneta — olbrzym" — odczyt 17.15 Muzyka operetkowa 17.50 Skrzynka językowa 18.00 Pieśni do słów Adama Mickiewicza 18.30 „Powązki" szkic literacki 18.45 Muzyka salonowa 19.00 Spłata długów Funduszowi Obrotowemu Reformy Rolnej 19.35 Pogadanka aktualna 20.00 Koncert symfoniczny z Łodzi 22.30 Odczyt dla lekarzy 22.45 „Zdobycze nowej Konstytucji polskiej" 23.05 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 27 listopada 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 „Czy możemy żyć bez mięsa?" 12.30 Orkiestra Tadeusza Seredyńskiego 13.25 Chwilka gospodarstwa domowego 15.30 Melodje z filmów dźwiękowych 16.00H „Ci, którzy nie słyszą" — transm.. z Zakładu dla głuchoniemych 16.20 Recital śpiewaczy 16.45 Rozmowa muzyka ze słuchaczem radja 17.00 „Czy słuszne jest hasło — wszystko dla dziecka" — odczyt 17.20 Utwory J. S. Bacha 17.50 Świat się śmieje" 18.00 Minjatury kwadratowe 18.30 Skrzynka ogólna 18.45 Muzyka salonowa 19.00 Porady weterynaryjne 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Reportaż aktualny 20.00 Towarzystwo śpiewacze „I owszem" 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 Twórczość Fryderyka Chopina — 13-ta audycja z cyklu 21.35 „Upiór w literaturze"— szkic literacki J21.50 „Jacy bywają klienci" — pogadanka 22.00 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 28 listopada 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Poranek muzyczny dla młodzieży szkół powsz. 13.00 Marsze 13.25 Chwilka gospodarstwa domowego 15.30 Melodje rewjowe i filmowe 16.00 Opowiadanie Starego Doktora 16.15 Trio salonowe z Poznania 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Odczyt — „Jak wieś żywi miasto" — „Ryby" 17.15 Koncert utworów Ign. Liliena 17.50 „Książka i wiedza 18.00 Koncert zespołu Adama Furmańskiego 18.45 Muzyka lekka 19.00 Kącik dla młodzieży wiejskiej 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 „Wieczór bajek" — koncert z udziałem B. Hertza recyt. 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Samoobrona przeciwgazowo-lotnicza" 21.00 Premjera słuchowisko „Czerwone naszywki" 21.35 Nasze pieśni 22.00 Koncert symfoniczny z udziałem Tadeusza Lifana 23.05 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 29 listopada 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja dla dzieci starszych ze szkół 12.40 Muzyka salonowa 13.25 Chwilka gospodarstwa domowego 13.30 Z rynku pracy 15.30 Polskie pieśni 16.00 Pogadanka dla chorych 16.15 Orkiestra Tadeusza Seredyńskiego 16.45 Chwilka pytań 17.00 „Zbliżamy się do nowej epoki ludowej" — reportarz z Inst. Botan. U. J. 17.15 Minuta poezji 17.20 Koncert solistów 17.50 Poradnik sportowy 18.00 „Melodje dla zakochanych" (koncert) 18.30 Pogadanka aktualna 18.45 Pieśni rycerstwa polskiego 19.00 Skrzynka rolnicza 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Biuro Studjów rozmawia ze słuchaczami P. R. 20.00 Aktualny monolog 20.10 „Wigilja św. Andrzeja" (aud. muz.) 21.00 Dziennik wieczorny 21.10 Obrazki z Polski współczesnej 21.15 „Schumann-Schubert" — koncert 22.00 Koncert kameralny 22.30 Muzyka taneczna z kawiarni „Cafe Club".

Sobota, dnia 30 listopada 1935 r.

6.30 Aud. poranna 12.03 Dziennik poł. 12.15 Orkiestra Alberta Katza z Wilna 13.00 Melodje oper. 13.25 Chwilka gosp. domowego 14.30 Koncert tria salonowego Haliny Balińskiej 15.00 Nowela „Jeszcze raz" (odczytanie) 15.30 „Walce i marsze" 16.00 Lekcja języka francuskiego 16.15 Utwory na fortepjan 16.30 Skrzynka techniczna 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 „Pod niemieckim dachem i pod mazurską strzechą" — reportaż 17.15 Nowości z płyt 17.45 Świat naszych zwierząt 17.50 „Miasto świetnych tradycyj" — Chełmno 18.00 Słuchowisko dla dzieci starszych 18.30 Przegląd wydawnictw 18.40 Pogadanka społeczna 18.45 Fragmenty z oper 19.00 Wesołe opowiastki góralskie 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Lwowski potpourri 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 Audycja dla Polaków z zagr, „Andrzejki w świetlicy" 21.30 „Wesoła syrena" — pt. „Historja jednej piosenki" 22.00 Koncert z udziałem Józefa Chasyda 23.05 Muzyka taneczna.

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans) 63)

„Miłosierny Boże, ulituj się pani", zawołała Anielcia, załamując ręce, i nie pokazuj mi tak strasznych i przerażających obrazów, — w jaką bezdenną przepaść muszę patrzyć! — Lecz, — ma pani słuszność, — tak postąpiłby Kazimierz, gdyby nieszczęśliwy wypadek odsłonił mu straszną tajemnicę. — Nie przeżyłby hańby! Śmieszność musiałaby go zgubić. A ta podła, której obowiązkiem było uczynić go szczęśliwym, przez swój występny krok stałaby się przyczyną jego śmierci".

„Cóż to pomoże", przerwała czerwonowłosa kobieta, „chociaż nazwiemy Lolę morderczynią! Tysiące takich istot żyje na tym świecie. Nie czeka ich więzienie, ani hańba. Nie. Ubrane w atłasy i jedwabie, otoczone rojem wielbicieli, na każdym kroku spotykają się z pochlebnem mianem interesujących kobiet. Czyż mało jest takich zaślepieńców, którzy są gotowi zawrzeć z niemi powtórnie związki małżeńskie.

„Zmarły mąż, biedna ofiara, idzie w zapomnienie. Żałuje się go, jak długo stoimy nad otwartym grobem. Zaledwie jednak kamienny głaz przywalił go na wieki, a już zapomnieli o nim wszyscy. Przyjaciele wzruszają ramionami, gdy po latach przypadkiem mówią o zmarłym: był warjatem, że odebrał sobie życie z powodu kobiety."

„O, jak mię pani męczy", zawołała Anielcia, wybuchając płaczem, „straszną myśl zanurzyłaś pani na dnie mojej duszy. Od tej chwili będę ciągle śnić, że widzę Kazimierza z krwawiącem się czołem i dymiącym rewolwerem w ręce. Dlaczego powiedziałaś mi to pani? Dlaczego odkryłaś mi pani grzech Loli i niebezpieczeństwo, które wisi nad Kazimierzem, jak miecz Damoklesa!"

„Byś go mogła ratować, droga Anielciu!" zawołała gwałtownie wróżka; „Kazimierz nie powinien zginąć, więc dlatego odkryłam ci wszystko! Jeżeli go rzeczywiście kochasz, to znajdziesz drogę, by mu wpaść w objęcia. Przystąpisz do niego i szepniesz mu cicho: strzeż się, zostałeś oszukany!"

„Jak to uczynić!" jękła Anielcia. „Nie mając dowodów, nie mogę go przestrzedz, ani umotywować mojego oskarżenia! W jaki sposób zdołam więc zedrzeć maskę z twarzy Loli?!"

„Prawda", odparła Arabella, „musisz mieć dowody, bez których nie uwierzył by ci! Wprawdzie nie kocha Loli, tego jestem pewna, lecz czci ją i szanuje zanadto, by bez dowodów zawierzył twoim słowom. Nie troszcz się jednak, Anielciu. Dowody się znajdą może jutro, albo w najbliższych już dniach! Zaufaj mi, postaram się o nie, jako twoja najlepsza przyjaciółka!"

Anielcia nie mogła uwierzyć. Gdy po chwili znalazła się sama w swoim małym gabinecie, który zamieszkiwała obecnie w hotelu pod „Niebieskiem wielorybem", rzuciła się łkając na łóżko, pragnąc w duszy, by niewierność Loli nie wyszła nigdy na jaw.

Ach, teraz, — obawiała się o kochanka! — Usnąwszy wreszcie, śniła, że słyszy wystrzał, — i potok gorzkich łez zatamował jej oddech.

LXXVI.

Głosy przeszłości.

Widziała również bogatych panów, znikających w pojedyńczych pokojach.

Anielcia była zanadto roztropną, by nie poznała, do jakiego dostała się hotelu. Pani Gautier zrobiła to samo spostrzeżenie, nie mając jednak zamiaru, pozostać długo pod „niebieskim wielorybem" i widząc, że gospodarz nie żąda od niej papierów ani dokumentów, postanowiła nie zmieniać na razie mieszkania, dopóki nie wyszuka sobie coś stosowniejszego.

Następnego dnia koło południa pani Gautier wyszła z hotelu, by, — jak powiedziała Anielci, — poszukać mieszkania.

Anielcię pozostawiła w hotelu z uwagą, by się nie odważyła nigdzie wychodzić.

Anielcia zauważyła jednak, że ludzie mieszkający w tym hotelu, nie wyglądali wprawdzie podejrzanie, lecz zdawali się szukać zupełnie czego innego, jak tylko mieszkania.

Na schodach spotkała kilka dam, ubranych w jedwabie, które zalęknione wchodziły ukradkiem na pierwsze piętro.

Anielcia była sama. Siedząc przy oknie, zabawiała się ręczną robótką.

Spoglądała na ulicę pełną ruchu i zgiełku, mimo że była tylko boczną arterją wielkiego bulwaru.

Z pokoju, który przytykał do jej gabinetu, dochodził odgłos kroków ludzkich. Sądząc po jego ustawicznym chodzie, musiał to być bardzo nerwowy człowiek.

Zdawało się, że go musi dręczyć jakaś trwoga, albo że oczekuje kogoś, który nie nadchodzi, wystawiając jego cierpliwość na twardą próbę.

Anielcia nie mogła naturalnie wiedzieć, kto tam się znajdował. Przez ścianę nie była w stanie patrzeć, która jednak była dostatecznie cienką, by każde słowo mogło się wyraźnie odbić o jej uszy. I rzeczywiście słyszała zupełnie wyraźnie każdy głos i szmer.

Dotychczas w sąsiednim pokoju był tylko jeden mężczyzna, którego kroki odbijały się ustawicznie o posadzkę.

Dziwne! Anielcia nie znała go ani nie widziała, lecz ten ciągły miarowy chód drażnił ją i przerażał.

Bezwiednie podbiegła ku drzwiom i przekonała się, czy były dobrze zamknięte.

Następnie usiadła znowu przy oknie, ujęła swoją ręczną robótkę i postanowiła nie zważać na niespokojnego sąsiada.

Na ulicy było tyle interesujących rzeczy do widzenia! Na rogu bulwaru zakręcał właśnie powóz i wjechał w ulicę przy której leżał hotel pod „Niebieskim wielorybem".

Anielcia sądziła najpierw, że powóz zatrzyma się przed bramą hotelową. Lecz nie. Powóz stanął na rogu. Otworzyły się drzwiczki i w tej chwili zobaczyła małą cudowną nóżkę, wysuwająca się z pod jedwabnej kobiecej sukni. Z powozu wyszła dama, której zewnętrzna postać harmonizowała zupełnie ze wspaniałą nogą.

Wprawdzie, — jej twarzy nie było widać; ciężki welon zasłaniał ją całkowicie. — Jednak co za piękne, pełne formy, — co za bujny wzrost, — co za wdzięk i czar — i jaka elegancja sukien!

Anielcia nie mogła się dosyć napatrzeć. Dama, opuściwszy powóz, przeszła parę razy po chodniku, leżącym naprzeciwko hotelu, spoglądając ustawicznie na jedno z hotelowych okien.

Oczekiwała kogo, który miał wyjść z hotelu? Nie! Prawdopodobnie dano damie znak z okna, gdyż z mocnem postanowieniem przeszła przez ulicę, znikając równocześnie z oczu Anielci.

„Jestem ciekawa, czy wejdzie do hotelu", szeptała Anielcia, „i jaki może mieć tutaj interes? Chce złożyć wizytę? Dlaczego w takim razie czekała na znak na przeciwległym chodniku?"

Anielcia zauważyła nagle, że w sąsiednim pokoju nastała cisza. Podniosła się, odłożyła swoją robotę i przysunęła się do ściany, słuchając, czy jej sąsiad nie wyszedł przypadkiem z pokoju. — Toby ją uspokoiło; czułaby się wtedy bezpieczniejszą.

Nagle zaskrzypiały drzwi w sąsiednim pokoju. Bezwątpienia otwarto je i zamknięto. Anielcia słyszała jeszcze, jak klucz obrócił się dwa razy w zamku.

„Wreszcie jesteś!" mówił męski głos, „tak długo czekałem na ciebie! Wystawiłaś tą razą moją cierpliwość na twardą próbę".

„Nie otrzymałeś mego listu?" zapytał głos kobiecy.

„Tak, przyniósł mi go żyd! Lecz obawiam się, że zaszło coś takiego, skutkiem czego nie mogłaś opuścić domu twojego męża! — Masz pieniądze?"

„Tak, przyniosłam ci!"

„Twój mąż nic nie podejrzywa? Nie dowiedział się jeszcze, żeś sprzedała swoje brylanty?"

„Nie! Jednak z wielkim trudem uniknęłam niebezpieczeństwa! Wystaw sobie, u jubilera, u którego załatwiam wszystkie moje interesa, spotkałam mojego ojca. — Dowiedział się naturalnie wszystkiego".

„Do djabła! nastąpiła pewnie gwałtowna scena!"

„A gdyby to tylko! Przekonywałam go, że sprzedałam djamenty z powodu mego męża. Obwiniłam go, że gra w karty namiętnie i wyjawiłam ojcu, że narobił tyle długów, że byłam zmuszoną spieniężyć moje kosztowności, by go uchronić przed ruiną!"

„Ha, ha, zrobiłaś to po mistrzowsku! Mówiłem zawsze, że jesteś małą djablicą!"

Anielcia zatoczyła się blada z przerażenia.

Spoglądała w bezdenną przepaść potworności. Co za nieczyste słowa odbi-

jały się o jej uszy! Kobieta, sprzedająca swoje djamenty, których cenę oddaje drugiemu.

Kobieta, która oszukawszy swego męża, twierdzi w obecności własnego ojca, że sprzedała kosztowności, by pokryć lekkomyślność męża! — O, to było straszne! Nie, nie! Więcej nie chciała słyszeć, — dosyć miała tej strasznej tajemnicy; nie miała najmniejszej ochoty, dowiedzieć się końca!

Lecz po chwili nieprzeparta siła pchała ją ku ścianie, gdyż nie tyle słowa, ile samo brzmienie głosu, uderzyło ją dziwnie!

Już raz słyszała gdzieś ten głos kobiecy, lecz napróżno dręczyła Anielcia w tej chwili swój mózg! Nie mogła przypomnieć sobie, gdzie spotkała się z tym głosem! Wiedziała tylko, że głos ten miał straszne dla niej znaczenie, że słyszała go w strasznej chwili swojego życia, — w godzinie, która złamała jej serce!

Anielcia brzydziła się podsłuchiwaniem! Uważała je za niegodne porządnego człowieka, lecz nieprzeparta siła trzymała ją przy ścianie. Musiała się oprzeć o drewnianą ścianę i przyłożyć do niej ucho!

„Tak, to jest 40.000 franków!“ słyszała głos mężczyzny w sąsiednim pokoju; „dziękuję ci, spełniłaś twój obowiązek!“

„Mój obowiązek?“ zawołał ze drżeniem głos kobiecy. „Nie, mego obowiązku nie spełniłam dobrze, gdyż należę do mego męża, a nie do ciebie. Ty tylko oszukujesz mię i zmuszasz, bym mu łamała wiarę. — O gdybyś wiedział, z jakim wstrętem szłam do ciebie. Czy domyślasz się, jaką straszną walkę toczyłam ze sobą od wczoraj! Nie usłucham cię więcej, — nie będę twoją sługą, ani niewolnicą. Nie chcę być dłużej takiem stworzeniem, które musi być posłuszne na każdy twój rozkaz! — Słyszysz, ostatni raz jestem u ciebie — rób, co chcesz! — Zdradź mię, mimo to nie usłucham cię więcej!“

„Za gwałtownie śpiewasz, moja ptaszyno!“ zaśmiał się mężczyzna z szatańskim cynizmem. „Podobasz mi się w tym gniewie, moja mała! Przypominasz mi tak żywo wiewiórkę, którą miałem będąc jeszcze dzieckiem.

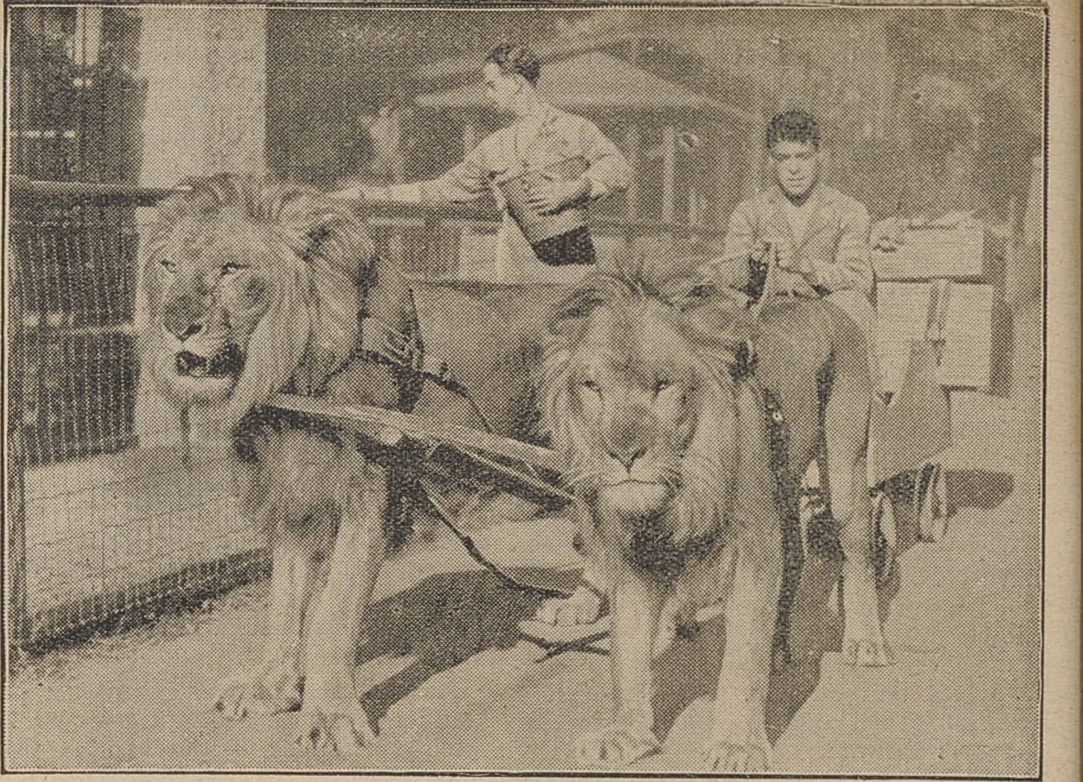
„Przywiązana na łańcuszku, wskakiwała na drzewo, pragnąc się uwolnić. Gdy chciałem ją mieć przy sobie, potrzebowałem pociągnąć tylko za łańcuszek, który był przymocowany do jej tylnej nóżki! Pozwól, że się przekonam, czy by się nie udało założyć na twoją nóżkę takiego łańcuszka!“

W tej chwili próbował ją prawdopodobnie objąć, a może odważył się i na inny ruch, który się wydał bezczelnym kobiecie, — gdyż Anielcia usłyszała, jak nieszczęśliwa zawołała boleśnie:

„Puść mię! Nie dotykaj! Twoje objęcia hańbią mię! Ha, podły przestępco, nie masz ani trochę litości dla mojego nieszczęścia?“

„Gołąbko, tak cudownie wyglądasz dzisiaj! Nigdy nie wydałaś mi się jeszcze tak powabną i czarującą!“

„Wstrzymaj się, najwyższy czas, bym odeszła! Żegnaj i bądź przekonany, że mię więcej nie zobaczysz!“



W kalifornijskim ogrodzie zoologicznym znajdują się dwa lwy, które do tego stopnia są oswojone, że służą nawet jako zwierzęta pociągowe.

Chciała uciec, jednak mężczyzna zaskoczył jej drogę i zagrodził sobą drzwi.

„O nie uciekniesz mi!“ zawołał, — „a gdybyś nawet była na dole, jedno gwizdnięcie, — zmusi cię do powrotu. Zawsze będziesz posłuszną na każde moje skinienie, — zapamiętaj to sobie!“

„Chcesz więc gwałtem zatrzymać mię w tym pokoju? Zawołam o pomoc!“

„Wołaj! Jeżeli się kto zjawi ze służby hotelowej, to mu powiem: proszę zamówić powóz dla hrabiny Loli Zamskiej! Następnie będę prosił, by cię odprowadzono do hrabiego i powiedziano mu, że jego żona znajdując się w pokoju Freda Robbera pod „Niebieskim wielorybem“, zasłabła nagle“.

Przerażona odskoczyła Anielcia od ściany. Poznanie strasznej tajemnicy oszołomiło jej zmysły.

Sztywnie i bez ruchu upadła na krzesełko. — Teraz, wiedziała wszystko! Teraz, poznała obie osoby, które znajdowały się w sąsiednim pokoju, oddzielone od niej tylko cienką ścianą.

Gdyby Anielcia dała się powodować pierwszemu uczuciu, to z pewnością uciekłaby z pokoju, by nie słyszeć więcej tej potwornej rozmowy. Nie mogła się jednak ruszyć ze stołka. Lodowaty dreszcz przebiegał jej piękne ciało. Chciała wołać o pomoc, lecz głos ugrzązł jej w krtani. Bezładny chaos myśli, podobny do fali, która zalewając kwitnący kraj niszczy niemiłosiernie wszystko, co tylko żyje i kwitnie, unieruchomił nagle Anielcię.

Tylko jedna jasna myśl unosiła się nad tym chaosem, świecąc jak złowieszczy piorun: — poznanie tego, co jej opowiadała pani Gautier o żonie Kazimierza, — to wszystko było prawdą i rzeczywistością.

Kazimierz był oszukiwany, — do tego bezczelnie. Rzadko oszukuje kobieta w ten sposób mężczyznę.

Ożenił się z ulicznicą, która złamała mu wiarę. Cichaczem opuściła jego dom, by rzucić się w objęcia drugiego i pić rozkosz występnej miłości, której zresztą zdawała się mieć już dosyć. Anielcia słyszała, jak Lola starała się znaczniejszą kwotą okupić milczenie tego, z którym łączyły ją grzeszne i tajemnicze węzły.

A on! — Nie należał nawet do koła towarzyskiego, ani do sfery, w której obracała się Lola. Nie mógł dać zadośćuczynienia Kazimierzowi, będąc zwykłym łotrem i złoczyńcą. Anielcia, słysząc jego nazwisko, zadrżała.

Fred Robber, — święty Boże, ten szubrawiec, którego szukała wszędzie policja, ten morderca, oszust i złodziej, — był więc kochankiem Loli! — O hańba, — po trzykroć hańba!

Wstręt przeniknął Anielcię! — Jej czysta dusza nie mogła pojąć, jak mogła się poniżyć do tego stopnia córka hrabiego Zygmunta Sokolskiego. Jej myśli plątały się na wspomnienie, że taka piękna, młoda, starannie wychowana kobieta mogła się oddać takiemu człowiekowi! — Jej myśli nie mogły się wznieść na tę wyżynę lubieżności i grzesznego pożądania, by zrozumieć możliwość zostania kochanką Freda Robbera. —

I to była żona Kazimierza! Od jego boku szła prosto w bagno rozpusty! — Ta szczęśliwa kobieta, tak często zazdrościła, że posiadała ukochanego mężczyznę, — nie zwracała najmniejszej uwagi na ten skarb, który jej powierzyły losy, — na ten skarb czystej miłości, którą Kazimierz dla niej odczuwał z pewnością! — Oszukiwała swojego męża, godnego miłości, by uszczęśliwić takiego Freda Robbera! —

Kilka minut upłynęło, zanim Anielcia uspokoiła się o tyle, by powstać ze stołka.

W sąsiednim pokoju tymczasem, rozlegające się głosy brzmiały namiętniej, niż przedtem. Zacięta walka musiała się tam toczyć.

„Chcesz mię więc zmusić, bym ci uległa?“ słyszała Anielcia ochrypły głos Loli, „dobrze, zabij mię, niech się skończy to życie! Przysięgam ci: nie będę twoją! — Nie, nie, — nigdy, — twoje ramiona nie obejmą mię więcej! Czuję wstręt przed twojemi pieszczotami! — Kocham mego męża, — Kazimierza, — i pragnę należeć tylko do niego“.

„Twego męża? — Ha ha: zapóźno przychodzi ci skrucha, moja droga“, śmiał się zbrodniarz ordynarnym głosem, „za często oszukałaś go, byś mogła na serjo powrócić tylko do niego! Zresztą co chcesz? — Twój dobry, potulny Kazimierz nie podejrzywa, że moje pocałunki palą twoje wargi, gdy powracasz do domu ze samotnej przechadzki. Zadawala się tem, co mu zostawia wspaniałomyślnie Fred Robber. Oddaj mi twój żar, twój ogień, — on niech się grzeje przy tlejących węglach, ile tylko zechce!“

„O, ty nędzniku!“ szepnęła do siebie Anielcia. — „Podły bandyto, — odważasz się porównywać z Kazimierzem!“

W sąsiednim pokoju rzucił się Fred Robber prawdopodobnie przemocą na swoją ofiarę, gdyż Anielcia słyszała stłumiony głos Loli:

„Puść mię, — przyniosłam ci pieniądze, które żądałeś! — Dam ci jeszcze więcej, jeżeli rozkażesz, — tylko nie żądaj odemnie dowodów miłości, — oddania się tobie! Nie bądź tak brutalnym. Jeżeli już nie masz względu na mnie to uważaj przynajmniej na dziecko, które noszę w mojem łonie!“

„To moje dziecko!“ zaśmiał się cynicznie Robber, „ha, ha, — jeżeli będzie chłopiec, nazwiesz go hrabią Fredem! Przecież tyle może żądać od ciebie prawdziwy ojciec“.

„Własnoręcznie zaduszę ten występny płód“, zawołała Lola, „jeżeli tylko jeden rys będzie miał wspólny z tobą. Boże uchroń mię od tego! To nieprawda, powtarzam ci, — kłamiesz, — chcesz uczynić mię podłą! — To nie twoje dziecko, które czuję pod sercem! Chociaż spoczywałam w twoich objęciach, otoczona piekielnym ogniem twojej miłości, — jestem pewna, że nie jesteś ojcem mego dziecka, które ma przyjść na świat“.

Anielcia z przerażeniem odskoczyła od ściany, — płomienny pąs oblał jej policzki, — jej dziewicza pierś falowała gwałtownie za każdym oddechem, — uczucie wstrętu przebiegło jej postać, a jednak, — obecnie nie czuła takiej nienawiści do Loli, jak jeszcze przed kilku minutami. Obok niewiernej żony widziała w niej równocześnie matkę, broniącą jedynego skarbu, swojego dziecka!

Niewinne dziewczę błądziło po pokoju, — następnie wcisnęło się w kąt, by nie słyszeć strasznej rozmowy, toczącej się ciągle w sąsiednim pokoju. Nie chciała słyszeć więcej tych brudnych tajemnic, które odsłoniły się, — bo w jej duszy szalało morze wstrętu i przerażenia.

Ha, — gdyby ten szubrawiec prawdę powiedział. Gdyby to dziecko, które rzeczywiście jako słodka tajemnica spoczywało pod sercem Loli, było jego dzieckiem! — Mogłożby to straszne, niepojęte stać się faktem, miałżeby naprawdę Kazimierz Zamski fałszywemu dziecku, użyczyć swego nazwiska, miałby je brać w ręce, pieścić, przyciskać do serca, całować niby swoje własne, jakoby krew ze swojej krwi, — życie ze swego życia?



Podobnie jak każdego roku obchodzone było i obecnie w Rumunji święto patrona państwa św. Michała bardzo uroczyście. W katedrze św. Michała w Bukareszcie odbyło się uroczyste nabożeństwo, w którem wziął udział król Karol II. Przed wejściem do kościoła ucałował król według odwiecznej tradycji biblję, podaną mu przez metropolitę.

Nie, nie, po tysiąc razy nie! Tak zacny ród Zamskich nie powinien w tak ohydny sposób być oszukanym! Na tym wspaniałym, bez skazy, genealogicznem drzewie hrabstwa Zamskich nie śmie zalęgnąć się pasożyt roślinny! Każdy uczciwie myślący człowiek miał święty obowiązek ostrzec Kazimierza.

Ale co to, tuż obok rozwarł ktoś drzwi gwałtownie! Anielcia słyszała, jak Lola wypadła z pokoju, zapewne chciała biedaczka uciec po schodach na dół, ale szubrawiec musiał tuż gonić za nią, bo nagle — — — — — — —

„Proszę otworzyć na miłość Boga“, zawołał jakiś błagalny głos od korytarza, „uratujcie życie ludzkie!“

„Szuka u mnie pomocy i ratunku!“ przeleciało przez główkę Anielci niby świetlna błyskawica, „doprawdy, — nie zawiedzie się co do mnie, ja jej nie opuszczę!“

Jednym skokiem dopadła Anielcia do drzwi, — odsunęła rygiel i otworzyła je. Jakaś ciemna postać przekroczyła próg chwiejnym krokiem, w tej chwili zatrzasnęła Anielcia z powrotem podwoje, zamykając je na klucz i zasuwając w dodatku dla bezpieczeństwa zasuwkę. Klucz wyjęła ze zamku i schowała go do kieszeni.

Na korytarzu ujrzała przelotnie twarz Alfreda Robbera. Miał bladą twarz i dziką namiętnością powykrzywiane rysy. Posłał Anielci jako ratującemu aniołowi wzrok pełen jadowitej nienawiści, ale widocznie nie rozpoznał jej w półmroku korytarza przy tem na pół oświetleniu. — W tej samej chwili, kiedy Lola na pół przytomna upadła wyczerpana na fotel i zakrywając sobie twarz rękoma, poczęła szlochać niby małe dziecko, — a Anielcia przybliżając się do niej chciała ją właśnie pocieszać, — słowa otuchy szeptać jej do ucha, — zapewniać, że tymczasowo nie potrzebuje się obawiać, — w tej samej chwili rzucił się Alfred Robber niby rozwścieklony trygrys z całą siłą ku drzwiom, krzycząc zachrypłym głosem:

„Proszę otworzyć, — nikt niema prawa ukrywać u siebie tej osoby, — ta kobieta, to moja kochanka. Wyłamię drzwi, jeżeli tylko chwilę potrwa wahanie! — Otworzyć, — powtarzam, — otworzyć!“ —

„Litości!“ zawołała Lola, nie zdejmując rąk z twarzy i nie spoglądając na Anielcię, „proszę nie otwierać! — On by mnie zamordował, — on byłby w stanie i pani wepchnąć sztylet w piersi! — Ach, pani nie przeczuwa, do czego ten człowiek zdolny.“

„Proszę się uspokoić, — niech mi pani zawierzy“, wydobyła Anielcia z trudem ze siebie, „ja nie otworzę tych drzwi. Ale zawołam służącego hotelu, ten musi nam przyjść z pomocą.“

„Ach nie!“ zawołała Lola słabym głosem, podnosząc się z fotelu i przytrzymując wyciągniętą już rękę Anielci w kierunku sznura od dzwonka, „proszę nie dzwonić, — nie wołać pomocy, — inaczej jestem zgubioną, — ach, jakby mnie tu zobaczyli! — O mój Boże, — mój Boże, — siły mnie opuszczają, — kara, która mnie spotyka ciężka, bardzo ciężka, — jednak, — ja zasłużyłam na nią!“

Z głuchym łoskotem upadła Lola tuż obok nóg Anielci, która naprózno starała się pochwycić kształtne ciało pięknej grzesznicy. — Uderzenie pięścią w drzwi rozległo się znowu po pokoju, powtórnie dał się słyszeć ów straszny głos z korytarza:

„Po raz ostatni wzywam, proszę dobrowolnie otworzyć drzwi, — albo stanie się coś strasznego! Ha, wy mnie nie znacie, — nie wiecie, do czego jam zdolny, gdym podrażniony! — Mam ostry nóż przy sobie! Otworzyć drzwi

natychmiast, — inaczej wyłamię je gwałtem."

„On nas obie zamorduje!" wyjękła Anielcia, słaniając się w kierunku drzwi, „o Boże, cóż mam robić, czyż niema ratunku?"

Gwałtowne kopnięcie nogą, — drzwi nietylko, że zachwiały się w zawiasach, ale nadto wyleciał kawałek drzewa ze środka, tak że powstała szpara.

W tej chwili ukazała się z zewnątrz jakaś ręka w szparze, pomału poczęła odłupywać szczypę za szczypą, torując sobie w ten sposób drogę do zasuwki.

Z okrzykiem rzuciła się Anielcia do Loli, obejmując ją obu rękami.

„Nieszczesna", szeptała jej do ucha, „teraz trzeba się będzie bronić i walczyć! Jeżeli nie chcesz wydać mu na pastwę swej czci i honoru, w takim razie musisz się starać bronić przeciw temu strasznemu, — bronić wszelkiemi siłami, — ach, on odsuwa rygiel, on —"

„Tu jest!" zabrzmiał nagle jakiś głos od schodów, „tu jest ten nędznik, który mi zrabował mój honor. — Naprzód, — prędko, — ha, teraz nie ujdzie kryminału!"

Z okrzykiem wściekłości odskoczył Alfred Robber od drzwi, — ręka znikła, — w następnej chwili usłyszała Anielcia, jak nędznik wpadł do swojego pokoju, zaryglowując drzwi i zatarasowując je wedle możności.

Czy to było na jawie? Byłaż ona świadkiem tego wszystkiego, — mogła ona wogóle słyszeć, — mogła zrozumieć, co się koło niej dzieje?

Wielki Boże, co się stało właściwie z Anielcia, — co ją nagle w słup soli przemieniło?

Stała jakby posąg wyciosany z marmuru, bez życia, — oczy miała szeroko rozwarte i utkwione w drzwi, — uzmysłowiała swoją nieruchomością i lękiem ducha przerażenia.

To ten głos, który Anielcia usłyszała od strony schodów, ten zmroził jej krew, odjął jej możność mowy i ruchu.

Ha, ten głos, ten sam głos ona znała, dobrze znała, to był głos —.

Pomału podniosła ręce przyciskając niemi pulsujące skronie, — przez kilka sekund walczyła jeszcze ze sobą, — następnie krzyknęła prawie spazmatycznie, — i zwracając się do młodej kobiety, przypadła do niej.

„Proszę cię ratować", wycedziła z trudem bezdźwięcznym głosem, rzucając na białą twarz grzesznicy pełne trwogi i miłosierdzia spojrzenie, „ratuj się pani, — chociażby skokiem z okna na ulicę! Czy nie słyszała pani tego głosu?"

„Co za głos?" pytała Lola, prostując się i spoglądając na młode dziewczę, wzdrygając się mimowoli na jej widok.

Dopiero teraz rozpoznała te, która się nią zaopiekowała tak serdecznie.

„Co za głos masz pani na myśli", powtórzyła Lola pytanie, drżąc na całem ciele, „zapewne głos tego zbója, — bandyty."

„Ach, ten nie obchodzi nas więcej, zapewne podzieli los innych oprzyszków i przestępców i przesiaduje się do kryminału, ale inne niebezpieczeństwo grozi, — pani, — pytam jeszcze raz, nie słyszała pani żadnego innego głosu od strony schodów?"

„Od strony schodów, innego głosu?" pytała Lola, słysząc jakieś wściekłe kroki na korytarzu, zbliżające się do ich drzwi, „czyjże to był głos?"

„Głos męża pani", zawołała Anielcia, „głos hrabiego Kazimierza Zamskiego! On tuż koło nas, — zbliża się, — stoi tuż u naszych drzwi, pani hrabino!"

XCIII.

Plan zemsty Arabelli

Musimy w naszej opowieści cofnąć się o kilka godzin wstecz, aby wytłumaczyć czytelnikowi należycie cały przebieg wydarzeń pod „Niebieskim wielorybem".

Arabella, — albo jak sama się nazwała madame Gautier, — opuściła późnym rankiem hotel rzeczywiście w zamiarze rozglądnięcia się za odpowiedniem pomieszkaniem.

Jej prawdziwy wygląd był czerwoną peruką dobrze zamaskowany, nie potrzebowała się obawiać, aby ją poznano jako hrabinę Arabellę, zresztą w Paryżu i tak nie miała żadnych znajomych ani krewnych, którzyby mogli odgadnąć, co zacz.

Ze spokojem i ze zimną krwią zeszła po schodach. Doszła już do ostatstatniego rzędu stopni, ujrzała szeroko rozwartą bramę, w której stał portjer, — nagle spostrzegła, jak jakiś elegancki mężczyzna z ulicy spiesznie wkroczył, raczej wsunął się chyłkiem do środka.

Zamienił z portjerem tylko parę słów, ten wręczył mu natychmiast klucz od pokoju.

Arabella wiedziała już od wczoraj dokładnie, jakiego rodzaju jest ten hotel, w którym zamieszkała.

Przyszła do przekonania, że fiaker, którego poprosiła, aby ją zawiózł do jakiegoś hotelu, podwiózł ją pod jeden z tych specjalności paryskich, które właściwie nie służą wygodnie obcych podróżnych, tylko raczej dla Paryżanina są stworzone, ku tegoż wygodzie i jego przyjemności.

„Niebieski wieloryb" był rzeczywiście miejscem, w którem odbywały się schadzki zakochanych par. Małe, po domowemu urządzone pokoiki tego hotelu były już świadkami niejednej sceny miłosnej, — słyszały niejedno miłosne westchnienie. Jedwabnemi tapetami powybijane ściany widziały niejedne gorące całusy i objęcia.

Gdyby mogły opowiadać tylko to wszystko te nieme świadki, — podszeptać do ucha takiego sławnego Guy de Maupassant, — ilu nowymi zajmującymi romansikami i scenami miłosnemi zachwycałby głodna takiego pokarmu publiczność francuską.

Ale ściany milczą i nie zdradzają nijczego, chyba, że ucho jakiegoś podsłuchiwacza kryje się za niemi.

W milczeniu współzawodniczą z portjerem hotelu, tym cennym, małomównym, dyskretnym, wyrozumiałym człowiekiem, koło którego niejedna zakwefiona dama prześlizguje się zgrabnie, aby zniknąć następnie we wnętrzu budynku, — który wie, że tutaj niejeden młodzieniec elegancki spoczywa w objęciach żony innego mężczyzn..

Arabella, widząc młodego, elegancko ubranego mężczyznę, który właśnie wszedł do hotelu, wpadła w tej chwili na myśl, że młodzieniec ten szuka tutaj nie czego innego, jak jakiejś miłosnej awanturki.

Ponieważ nie chciała się wystawiać na jego badawczy wzrok, przycisnęła się do ściany, o ile się dało, nie chcąc się spotkać z tym młodym mężczyzną. Obcy ten pan kroczył po kobiercem zasłanych schodach pomału do góry.

Widocznie musiał już tu być dobrze znajomy, bo zaraz przy końcu schodów prowadził korytarz na prawo i lewo. — nie zawahał się jednak ani chwili i skręcił na prawo, właśnie tam, gdzie szła Arabella.

Cylinder zasadził dość głęboko na głowę i postawił kołnierz od zarzutki.

Małą laseczkę o srebrnej gałce trzymał w dwóch palcach lewej ręki, starając się ściągnąć rękawiczki z dłoni.

Właśnie, — w tej chwili, kiedy może dwa schody tylko dzieliły go od Arabelli, podniósł głowę do góry i popatrzył.

Pełna, czerwonowłosa kobieta stanęła nagle jakby przykuta do ziemi, — lekki dreszcz przebiegł jej po ciele. W następnym momencie już jednak zapanowała na tyle nad sobą, że otulając się staranniej długim, jedwabnym płaszczem pośpieszyła dalej, przechodząc tuż obok młodego mężczyzny.

W tej chwili elegant wypuścił z rąk laseczkę, która tocząc się upadła tuż u nóg Arabelli.

„Przepraszam bardzo, madame", zawołał modnie wystrojony panicz, uchylając nieco cylindra i pokazując swoje w loki zwinięte, rude włosy, „pani widzi, że moja laska bardzo grzeczna, pada zawsze do nóg pięknych dam na ich widok, zupełnie jak w tym właśnie wypadku."

Podczas tych słów schylił się do ziemi i podniósł laskę. Po raz trzeci wpatrzyła się w niego Arabella badawczo i silnie, jakby chciała wryć sobie głęboko w pamięć te rysy.

W pół minuty znikł młody obcy na skręcie pierwszego piętra.

Arabella zstępowała pomału dalej na dół, jakby chcąc w powolności tej zebrać, skupić swoje myśli.

„To on był!" zamruczała po cichu sama do siebie, „nie, ja się nie mylę, — ten młody elegant to Alfred Robber, nikt inny! Jakżebym mogła zapomnieć to foremne, a przecież straszne oblicze opryszka, te rude włosy, które zdają się płonąć piekielnym ogniem!

„A potem to spojrzenie, — to skryte, fałszywe, a jednak bezczelne spojrzenie tych zielonosiwych oczu! Zresztą, choćby to wszystko mnie myliło i w błąd wprowadzało, to przecież dźwięk tego głosu rozprasza wszelkie wątpliwości. — Posiadam bardzo wydelikacony słuch co do głosów różnych osób. Jeżeli słyszałam jakiegoś człowieka choćby raz mówiącego poznam głos jego, choćby po Bóg wie, jak długim czasie. To jed-

nak ten sam głos, który odzywał się do mnie w pokoju doktora Morizano. To ten sam człowiek, który się wówczas nazwał Alfredem Robberem, — dzisiaj zapewne podszył się pod zupełnie inne nazwisko. — Czytałam przecież niedawno w dziennikach, że opryszka tego szuka francuska policja, — ba. — za nim rozbijają się już dawno niemieckie władze.“

Arabella postanowiła dowiedzieć się wszystkiego, dotyczącego osoby nieznajomego.

Kiedy doszła do głównej bramy, portjer usunął się na bok, chcąc ją przepuścić i z głęboką dewocją zdjął przed nią swoją złotem obramowaną czapkę. Arabella jednak przystąpiła do niego i skinąwszy mu głową z uśmiechem, odezwała się do niego:

„Chciałabym pana o coś spytać, w razie, jeżelibym się mogła spuścić na pańską dyskrecję.“

„Madame“, odpowiedział zapytany, „jestem portjerem hotelowym! To samo ręczy za moją dyskrecję.“

„Rzeczywiście? W takim razie służba portjera hotelu musi być przedstopniem do urzędu ministra. — Ale, przedewszystkiem proszę schować tę pięciofrankówkę i proszę mi powiedzieć: Kto taki był ten pan, który właśnie pokroczył po schodach na pierwsze piętro, — nie zna go pan przypadkowo, — a może on dopiero po raz pierwszy bawi tu w tym hotelu?“

„Do licha“, pomyślał sobie portjer w duchu, „taka jedna jak i druga! Wczoraj wieczór, kiedy zajechała ta dama razem z jakąś śliczną panienką do naszego hotelu, pomyślałem sobie, że wreszcie raz dla odmiany dwie porządne osoby odwiedziły nasz hotel, a oto widzę, że ta ładna, złotowłosa dama interesuje się pierwszym lepszym, który przypadkowo zachodzi jej drogę.“

Naturalnie nie był głupi zdradzić swoich myśli. Ani nawet twarzą nie zdradził jakiegokolwiek podejrzenia, oblicze jego pozostało jak pierwotnie, uroczyste i spokojne.

Po minucie dyplomatycznej przerwy, — portjerzy hotelów są wszyscy urodzonymi dyplomatami, — odpowiedział złotowłosej damie:

„Madame, tego pana znam, — on nie po raz pierwszy przestąpił ten próg, — on odwiedza nasz hotel w pewnych odstępach czasu dość regularnie.“

„Odwiedza tylko, a więc nie zamieszkuje tutaj stale?“

„Szczerze powiedziawszy, bo jak widzę, rozchodzi się pani o zupełną prawdę, — on co najdłużej wynajmuje swój pokój na dzień albo na noc, — a przychodzi tak mniej więcej, co tygodnia.“

„Z pakunkami?“

„Nie, — madame! Przybywa zawsze bez rzeczy podróżnych do naszego hotelu.“

„I zostaje tutaj sam? Ja myślę, czy nie odwiedzają go jacy przyjaciele, lub koledzy zawodowi?“

„Koledzy zawodowi?“ — portjer zakaszlał lekko w dłoń, — myślę, że nie! Tylko jedna młoda, ładna dama, która regularnie zjawia się u niego, musi widocznie jakieś ważne interesa z nim załatwiać. Zresztą co do tego nie wolno mi wypowiadać swego osobistego mniemania.“

„Ach, — jakaś dama odwiedza tego pana tutaj w tym hotelu?“

„Tak jest, madame, — nawet bardzo elegancka, młoda i ładna dama!“

„Naturalnie zatrzymuje się dłuższy czas u tego pana, o którym mówimy?“

„Przeciwnie, madame, — to właśnie jest dziwnem w tej całej historji! Ona nie zatrzymuje się tutaj nigdy dłużej, jak co najwięcej godzinę, — czasem i w pół godziny ucieka stąd!“

„Co za wnioski pan z tego wyciąga?“

„Że ta dama musi być zamężną!“ odpowiedział portjer pocichu, — „bo tylko dama, która musi się rachować zladą wybuchem zazdrości ze strony mał żonka musi być tak ostrożną, — musi się tak spieszyć.“

„Ale nie wymieniłeś mi pan dotychczas nazwiska tego pana!“ przerwała mu Arabella po małej pauzie.

„Madame ,tego nie mogę“, odparł portjer, „toby było indyskrecją z mojej strony!

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

CHWILA ZASTANOWIENIA

ŁAMIGŁÓWKA LITEROWA

ułożyła Genowefa Krzyżankówna z leśniczówki Czmoń I.

o	l	n	ę	a	m	y	n
i	ę	c	o	n	i	s	c
n	z	k	i	c	y	i	s
a	ś	o	d	e	o	ń	ś
ą	i	i	z	z	k	i	p
e	z	ł	j	t	t	t	n
o	c	w	i	w	i	l	e
m	j	e	n	y	k	s	ż

Z powyższych rozdzielonych liter ułożyć dwuwiersz z poematu Mickiewicza: „Dziady“.

BILETY WIZYTOWE

podał W. B. z Gniezna

JAN GUSIOŁNIOW

N. AKENYMSKI

A. BYCZYŃSKI

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 29 listopada br.



Jeden z Czytelników „Moich Powieści“ nadesłał nam bardzo efektowne rozwiązanie zadań z nr. 45, które wyżej podajemy.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Marja Chłostówna — Chełmno, Franciszek Grzybowski — Kruszwica, Wacław Bultrowicz — Gniezno, Dionizy Janicki — Gniezno, Kazimiera Dobrowolska — Witkowice, K. Mikstacki — Lipiny, „Księżniczka Dari“, Kazimierz Chęś — Srebrnagóra, A. Romaniuk — Mościska, Ludwik Dulat — Zbąszyń, Teresa Karolczakowa — Wławie, Helena Stefańska — Warlubie, Stanisław Rogala — Orlik, Zofja Jamrożówna — Tereszewo, Genowefa Krzyżankówna — Czmoń, Kazimiera Wicherkiewiczowa — Lipno, Stanisław Stefan — Cieszęcin, Aleksy Szwanke — Nietuszkowo, Teofil Hereda — Dziedzice, Ewald Odrozek — Radlin, Konrad Oślizło — Bieruń Stary, Leokadja Krawczyk — M. Pułkowo, Janina Sołtysiakówna — Lubliniec, Halina Zakrzewska — Bratjan, Teresa Lipińska — Chorzów.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Helenie Stefańskiej — Warlubie, ul. Trzy Korony i Teofilowi Heredzie — Dziedzice, ul. Staszica 253.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

J. M. G. Koźle. W sprawie przesyłki zadań do „Chwili zastanowienia“, prosimy głównie o rebusy, arytmografy, krzyżówki i logogryfy. Te dwa zadania ostanie muszą być jednolite w charakterze, t. zn. mogą być tylko przyrodnicze, geograficzne lub literackie. Łączymy serdeczne pozdrowienia.

„Liceanka.“ Z abonamentem zalega Pani od 1 czerwca br. Pani Zofja oczekuje dotrzymania obietnicy i śle Pani szczery uścisk dłoni.

W. P. Jan J. z W. Sprawa prenumeraty — załatwiona. Wezwanie zostało wysłane przez pomyłkę. Przepraszamy i serdecznie pozdrawiamy.

W. Pani G. K. — Czmoń. Łamigłówki otrzymaliśmy. Dobre — zamieścimy wkrótce. Prosimy o dalszą współpracę z kącikiem rozrywkowym.

W. Pan Z. z Mołodeczna. Przy najbliższym wyborze powieści do druku, weźmiemy pod uwagę przesłane przez Pana tytuły książek. Dziękujemy za zainteresowanie oraz za chęć zwerbowania nam nowych abonentów.

W. Pan Artur W. z Tczewa. Krzyżówka dobra. Skorzystamy przy najbliższej sposobności. Dalsza współpraca Pana w dziale „Chwila zastanowienia“ — będzie bardzo mile widziana.

Przeciwny skutek

— Mój mąż pije bardzo dużo piwa. Lekarz dał mi proszek, który miałam mu wsypać do kawy.

— No i co? przestał pić piwo?

— Nie, ale kawę...

Odwaga

— Wiesz, konduktor wciąż na mnie patrzył podejrzliwie, jakbym nie miał biletu.

— A ty?

— A ja patrzyłem na niego tak, jakbym naprawdę miał bilet.

Dowcip dla lekarzy

Kustosz do dyrektora muzeum:

— Niestety, panie dyrektorze, w żaden sposób nie można odcyfrować tego starego papyrusu.

— W takim razie proszę wpisać do katalogu, że to jest recepta lekarska z czasów Ramzesa XV-go.

Imponujący

— Panie Tadeuszu, mógłby pan poddać się zabiegom ortopedycznym. Napewno w krótkim przeciągu czasu miałby pan proste nogi, nie takie pałąkowate.

— Właśnie, że dzięki moim nogom mam wielkie powodzenie u dziewcząt.

— Niemożliwe???

— Tak, bo każda myśli, że mam motocykl.

Mleko prosto od...

— Gospodarzu, przecież daliście mi czystej wody w dzbanku, zamiast mleka.

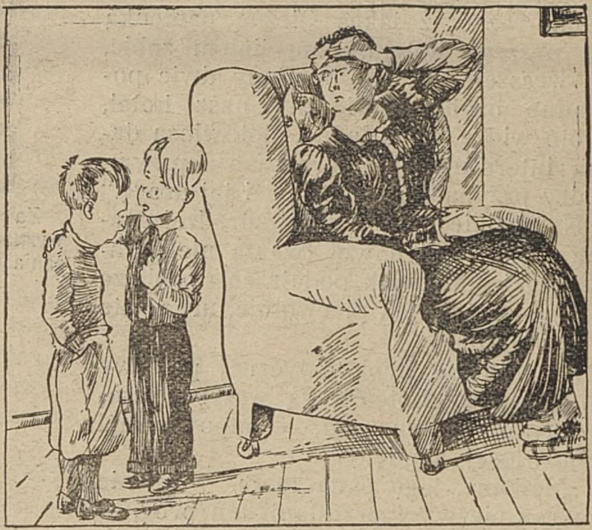
— O rety, znów ta Kaśka zapomniała dolać mleka do bańki!

Pośpiech

— Dlaczego pani tak szybko szyje, panno Janko?

— Bo chciałabym wykończyć ten pulower, zanim mi wełna wyjdzie.





— Ależ chłopcy, uspokójcie się! Czyż nie wiecie, że mnie tak strasznie boli głowa, że nawet się ruszyć nie mogę?...

— Słuchaj, Jaśku! Możeby teraz mamu powiedzieć, że wytłukłem szybę...

Nie spodziewały się

Pani X. przy powrocie do domu zauważyła, że służąca odkorkowała butelkę wina.

— No wiesz, Zosiu, tego się nie spodziewałam!

— Ja też nie — myślałam, że pani powróci dopiero wieczorem.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł 2,85. Pod opaską miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8

Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się.

P. K. O. Nr. 207.393

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str. 225,- zł itd. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Red. nacz. i wydawca: Alfred Ksycki — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki, Żnin